



KOSZYKI
PEŁNE
HISTORII

KOSZYKI PEŁNE HISTORII

Autor: Rafał Geremek

Redakcja: High Profile Strategic Advisors



Warszawa, październik 2014

KOSZYKI PEŁNE KASZTANOWCÓW

Królewski folwark mógł być miejscem ważnym dla historii Polski.

Nazwa „Koszyki” nie pochodzi bynajmniej od wyplatania koszyków czy od sklepowych koszy. Według bardzo prawdopodobnej wersji wywodzi się ona od wałów Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego, który postanowił ogrodzić Warszawę okopami, a te wzmocnić wiklinowymi koszami. Usypany w latach 1770–1771 wał miał chronić miasto przed epidemią cholery, ale bardziej prawdopodobne, że chodziło o pieniądze. Dzięki niemu wzmocniono bowiem kontrolę fiskalną – do stolicy nie można już było wjeżdżać ot tak sobie. Wał przebiegał na północ od dzisiejszej ulicy Koszykowej i praktycznie do 1916 roku wyznaczał granice Warszawy, choć rozebrano go cztery dekady wcześniej.

Masońskie Koszyki?

Folwark, na którego terenie stanęła później hala, był własnością ostatniego polskiego króla – Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wierny oświeceniowym ideom postanowił on założyć tu wzorcową osadę rolniczą, Nową Wieś. Od tej nazwy pochodzi ulica Nowowiejska. Przeniesiono tam chłopów z likwidowanej wsi Jazdów i zbudowano im domy. Ale do ciężkiej pracy edukacyjno-wychowawczej z ludem król Stanisław się nie nadawał. Szybko stracił serce do majątku i już w 1778 roku przekazał go dyplomacie i tajnemu radcy Maurycemu Głayre’owi. To on wystawił na Koszykach, nieopodal dzisiejszego skrzyżowania ulic Lwowskiej i Koszykowej parterowy pałacyk, bliski duchowi baroku (budowla została rozebrana dopiero pod koniec XIX wieku). Głayre wyjechał z Polski w 1787 roku, a Koszyki przekazał Teresie Tyszkiewiczowej z domu Poniatowskiej, ta zaś zatrudniła do przebudowy owego domu słynnego architekta – Dominika Merliniego.



„Widok Koszyków”
Zygmunt Vogel,
1785 rok

Nieruchomość często zmieniała gospodarzy. Co ciekawe, zarówno Stanisław August, jak i Maurycy Głayre, a także późniejszy właściciel – Tadeusz Morski byli masonami. Żadnych relacji na ten temat nie mamy, ale kto wie, czy w podmiejskim pałacyku myśliwskim wolnomularze nie urządzali potajemnych spotkań. Być może tu planowano wielkie projekty, które miały przenieść Polskę do grona państw oświeconych (bardzo prawdopodobne, że Konstytucję 3 Maja napisali i przegłosowali głównie masoni). Skądinąd wiadomo, że prowadzono tu wówczas ożywione życie towarzyskie. Na piętrze, pod dachem, urządzono nawet miniobserwatorium astronomiczne. Jeszcze w czasach gdy właścicielem był sam król Stanisław lud plotkował, że monarcha urządza tu schadzki ze swymi kochanicami. Dowodów na to też nie mamy, ale prawdą jest, że Stanisław August był czuły na kobiece wdzięki.



Folwark idzie na sprzedaż

Szkoda, że żadna ulica w tym rejonie nie nosi nazwy Kasztanowej, bo na początku XIX wieku dzisiejsza Koszykowa pełna była kasztanowców, a ze wszystkich stron otaczały ją ogrody. Folwark Koszyki przetrwał do 1860 roku. W końcu lat 50. owego stulecia Koszyki należały do hrabiego Stanisława Potockiego, ale już dwie dekady później, w sierpniu 1872 roku w „Kurierze Warszawskim” ukazało się ogłoszenie niejakiego L. Krupieckiego, który jako właściciel oferował sprzedaż folwarku. Wedle oferty na tym terenie miały stać wówczas w parku angielskim „pałacyk i siedem budowli murowanych w figurze i przestrzeni, jak plan przedstawia”. Właściciel musiał być pewien, że nie sprzeda folwarku w całości, oferował więc trójkątną działkę, która zawierała się pomiędzy dzisiejszymi ulicami Śniadeckich, Polną i Koszykową.

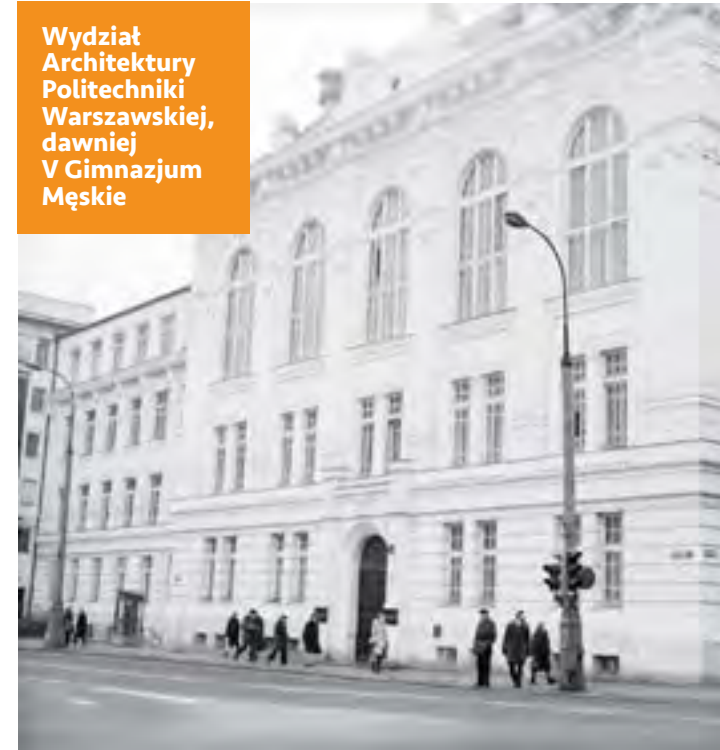
Cykliści i kamienicznicy

Około 1870 roku na dzisiejszej Koszykowej, a konkretnie jej wschodnim odcinku, pojawiły się czynszówki. Sama nazwa – Koszykowa – została zatwierdzona przez magistrat 15 lat później. W 1881 roku dzisiejszą ulicą Śniadeckich (wtedy Kaliksta) puszczono konny tramwaj, a przestrzeń pomiędzy tą ulicą a Koszykową zajęło Warszawskie Towarzystwo Cyklistów, które latem urządzało tam wyścigi kolarskie, a zimą ślizgawki. W samym pałacyku na Koszykach urządzono muzeum pszczelarstwa.

W roku 1880, gdy ulice otaczające nierozparcelowaną jeszcze posesję Koszyki nie były brukowane, a na ulicy Kaliksta wozy tonęły w błocie po deszczach, wynajmowano tam letnie mieszkania; sady na Koszykach słynęły z czereśni, w gąszczach zaś parku jeszcze przed laty kilkunastu śpiewały słowiki. Dziś ostatni kres temu wszystkiemu położyło przedłużenie ulicy Nowowiejskiej do Polnej, wzdłuż której ciągną się obecnie rusztowania mularskie przy budowie nowych kamienic – pisał znawca Warszawy Władysław Korotyński w „Kurierze Warszawskim” w 1901 roku.

Prorocze słowa. Od 1890 roku rozpoczął się boom inwestycyjny na Koszykowej. W 1901 roku oddano do użytku gmach główny dzisiejszej Politechniki Warszawskiej, a w latach 1905–1913 na Koszykowej etapami powstawał budynek dzisiejszego wydziału architektury tej uczelni, wówczas – gmach V Gimnazjum Męskiego. Nowa dzielnica nabierała rozmachu.

Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, dawniej V Gimnazjum Męskie



HALA NA MIARĘ AMBICJI

Nowoczesny bazar krótko po budowaniu przynosił straty, dlatego wydawało się, że jego lokalizacja była pomyłką.

Każdy, kto obcował z zabytkową Halą na Koszykach, upodobał sobie jakiś fragment i po latach go wspominał. Mężczyzn fascynowała stalowa konstrukcja budowli, kobiety uwielbiały zdobne kafle i artystycznie wykonane okucia bram i okien. Jerzy Gruza, który przychodził tu przed wojną, najlepiej zapamiętał wielkie balustrady okienne w bocznych nawach; jako dziecko uczepił się jednej z krzykier, protestując przeciw twardej postawie ojca, który nie chciał mu kupić zabawki. – *Zawsze na nią patrzyłem w późniejszych latach, kiedy tamtędy przechodziłem – wspomina dziś reżyser. Jerzy Kasprzycki, nieżyjący już znawca Warszawy, najbardziej umiłował głowy wołów, zdobiące wejścia do bocznych naw. Wół jest ślicznie realistyczny, tak apetyczny, że chciałoby się pocałować go w aksamiitne nozdrza – pisał w „Korzeniach Miasta”.*

Hala targowa na Koszykach była dzieckiem swojej epoki. Liczba takich nowoczesnych bazarów świadczyła o randze miasta (dziś podobną funkcję pełnią centra handlowe). Tyle tylko, że hale stanowiły większy skok cywilizacyjny, a głównym celem ich budowy było wdrożenie do handlu standardów higienicznych. – *Miasto w tamtych czasach miało swoje intensywne zapachy, a były to zapachy świeżych warzyw*



Widokówka z Halą z 1911 roku

i owoców, ale też śmierdzących ryb i gnijącego mięsa. Uliczni kupcy nie przestrzegali żadnych norm. Z kolei towar w halach badała specjalna komórka higieniczna – przypomina architekt Maria Sottys.

W latach 1899–1901 wybudowano dwie Hale Mirowskie na dzisiejszym pograniczu Śródmieścia i Woli. – *Za Żelazną Bramą kwitł przeważnie handel żydowski, a jego podstawą była sprzedaż ryb, które dość łatwo się psuły. O budowie hal na placu Witkowskiego, który później został nazwany placem Kazimierza Wielkiego, zdecydowało istnienie w tym miejscu targowiska. Trzecia hala zbudowana została na dawnych Koszykach, na surowym korzeniu. Po prostu słusznie przewidywano rozwój nowej, perspektywicznej dzielnicy – mówi Jarosław Zieliński, historyk i varsavianista.*

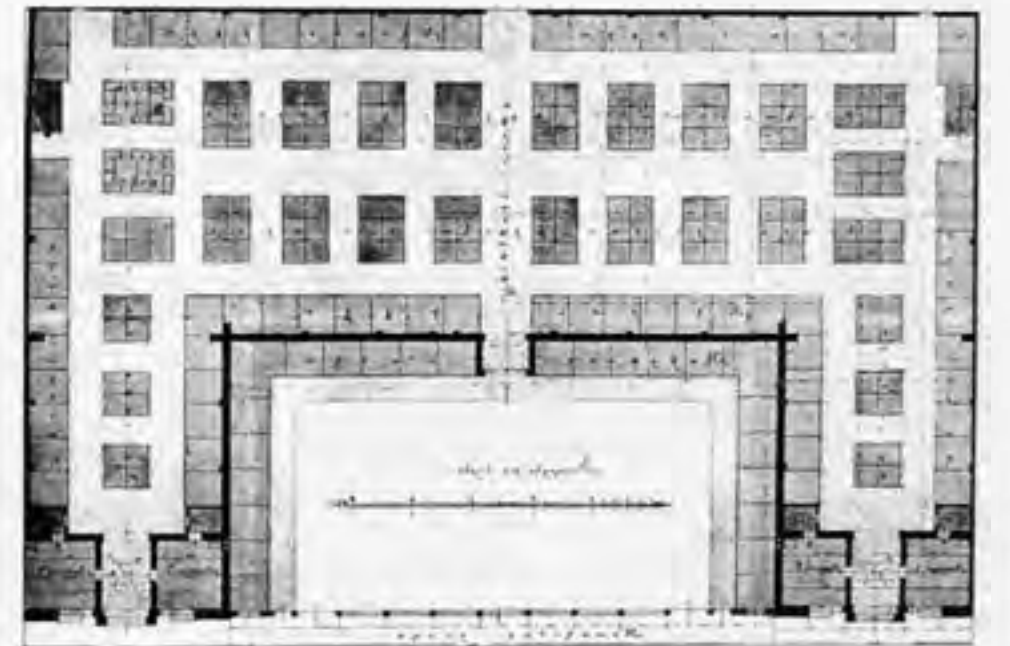
Pierwotnie rozważano budowę zadaszego targowiska w okolicach Starego Miasta, ale mieszkańcy i społecznicy podnieśli rwetes. Zieliński podejrzewa, iż uważano, że do najstarszej części miasta bardziej pasują tradycyjne sklepy.

Na projektanta hali wybrano Juliusza Dzierżanowskiego – architekta zatrudnionego w warszawskim magistracie, zaledwie 33-latek, ale z interesującym dorobkiem. Wybraniec miał niełatwe zadanie: musiał wymyślić budynek, który zmieściłby się na trójkątnej działce oddzielonej od północy wąską ulicą. Żadnego miejsca na rozmach.



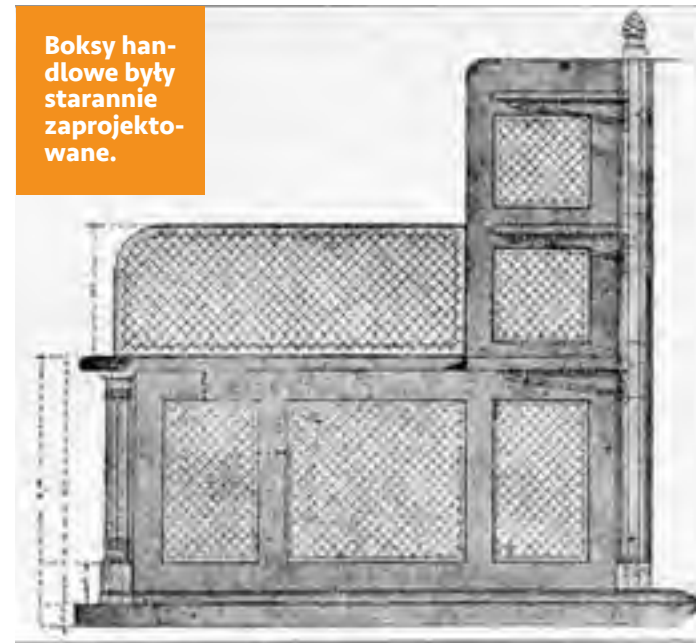
Głównej części hali nadano formę trójnawowej bazyliki, z której do dziś przetrwały tylko dwie oficyny bramne.

Projekt Hali w kształcie podkowy. Nie było miejsca na rozmach.



Dzierżanowski zaprojektował „świętynię handlu” w kształcie podkowy, z dwiema wysuniętymi bocznymi nawami. Front budowli cofnięty był o kilkanaście metrów, aby wozy z dostawami żywności nie blokowały ulicy. Niezwykle starannie wybierano dostawców wyrobów metalowych: jatek, kramów żelaznych, klatek piwnicznych na mięso i zwykłych – dla innych artykułów spożywczych. – *Wnętrze hali było całościowo i perfekcyjnie zaplanowane, łącznie z boksami handlowymi. Tu wszystko pasowało do siebie i nie było miejsca na przypadek* – mówi z uznaniem Zieliński.

Boksy handlowe były starannie zaprojektowane.

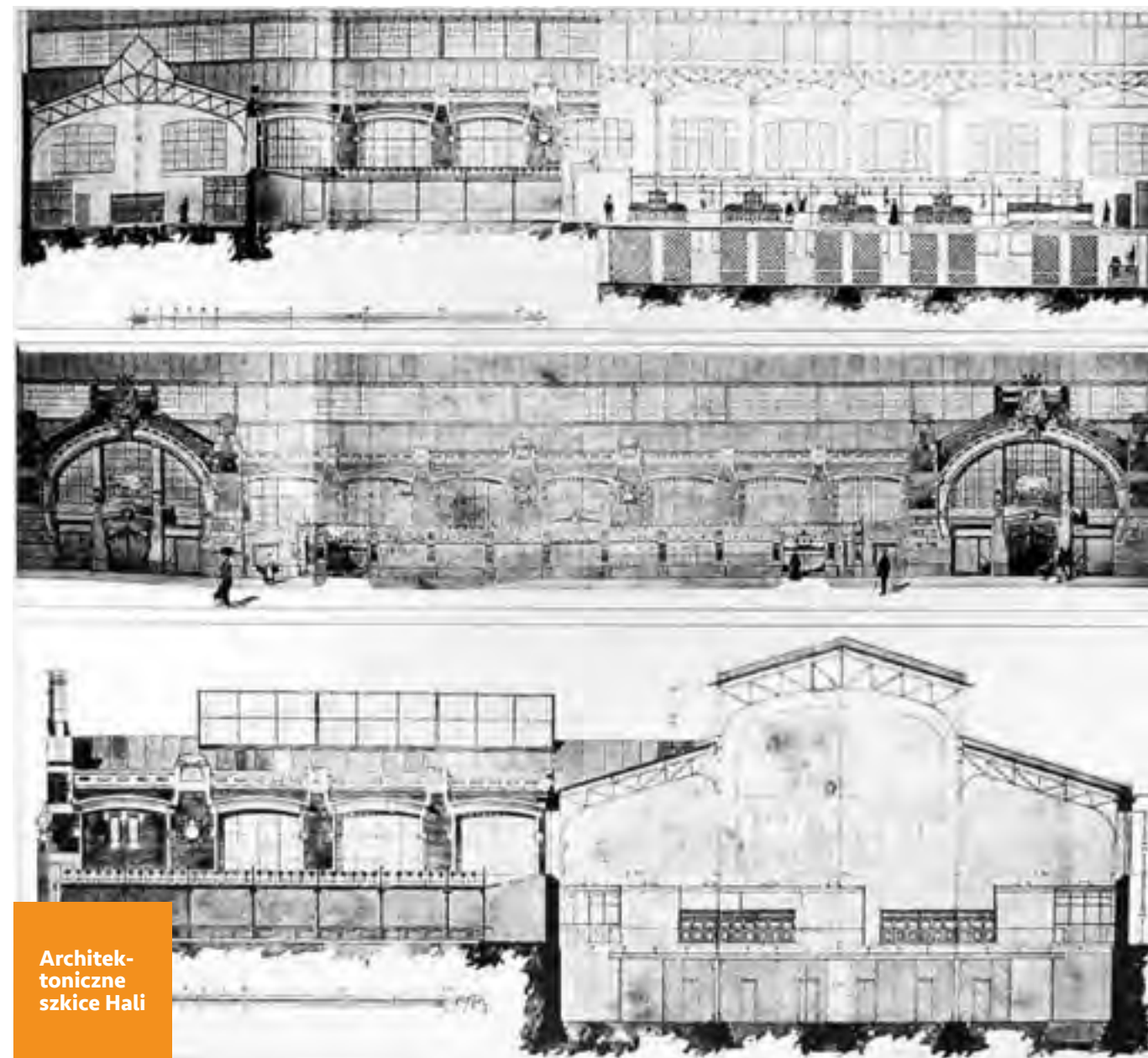


Dziedziniec na planie prostokąta o wymiarach 77 x 27 metrów wybrukowany był kostką. Od frontu do środka prowadziła piękna secesyjna brama. Przetrwiała jedynie identyczna, ale tylna – prowadząca na podwórze i zdemontowana w 2009 roku. Przez lata nikt jej nie zauważał, po rozbiórce zdjęcie z nią królowało w sieci.

Na zapleczu hali zbudowano ceglany budynek dla pracowników administracji, w którym mieściło się także mieszkanie dyrektora. Budynek był dwukondygnacyjny, a na dach wchodziło się krętymi schodami wąskiej wieżyczki. Wieży już nie ma, ale same schody się zachowały. Do czasów po ostatniej wojnie można było kupować na stoiskach w piwnicy, czyli jak powiedzielibyśmy dziś: na poziomie minus jeden. Tam ulokowano chłodnie.

Chłodnie były zelektryfikowane, mięsa i ryb nie trzymano na lodzie w trocinach. Na stoiskach była też bieżąca woda, a standardem były ceramiczne ściany i posadzki, które łatwo było umyć. Niezwykle ważna była oszklona konstrukcja stalowa, dobrze doświetlająca wnętrze. – To była starannie zrobiona europejska

hala dzielnicowa. Pod względem architektonicznym była standardowa, pod względem wyposażenia – absolutnie nowoczesna – ocenia Zieliński. Bardziej krytyczne spojrzenie na obiekt prezentuje Waldemar Pelka, ostatni prezes Spółdzielczego Domu Handlowego „Koszyki”: – Tamta epoka kojarzy nam się z jakimiś niesamowicie wysokimi standardami, ale nic bardziej mylnego. Architektura była wyrafinowana, ale metody budowania już niekoniecznie. W rejonie Koszyków jest sporo kamienic, które pierwotnie nie miały piwnic, dopiero później je wykopano, gdy budynek już stał. Fundamenty były płytkie, dlatego gdy buduje się dzisiaj nowe budynki, to stare kamienice „tańczą”. Poza tym w czasach budowy nie wiedzianno, jak długo wytrzyma konstrukcja stalowa, bo wówczas nie było takiej wiedzy. Owa konstrukcja musiała się wypaczyć, bo nie ogrzewano przecież górnej partii hali. Ukrytych błędów było zresztą więcej – tłumaczy handlowiec, a z wykształcenia inżynier.





Warszawska syrenka nad „ślicznie realistycznym” i „apetycznym” wołem



Kaduceusz – symbol pokoju i handlu

Wół i syrenka, czyli wszystko jasne

Ważna była symbolika Hali na Koszykach, bo w tamtej epoce poważnie traktowano symbole. Nad wejściami umieszczono łby wołów, które informowały, że znajdziemy tu jatkę z mięsem. Nad nimi górowała zaś warszawska syrenka – komunikat, że jest to hala miejska. Pojawia się też Kaduceusz atrybut Hermesa, boga handlu, częsty motyw na halach targowych. Na froncie znajdowały się pierwotnie herby cechowe, ale nie przetrwały one drugiej wojny światowej. Nie zabrakło w hali także typowo secesyjnych zdobień roślinnych, a ciekawostką są płaskorzeźby roślin spożywczych – słonecznika, kukurydzy czy buraka – w ościeżach portali. W sztukateriach na ścianach widać motyw sercowatych liści.



Rzeźba słonecznika – dekoracyjny rarytas

Kiedy budowano podobne hale na świecie, budziły one ekscytację. Widziano w nich spotkanie inżynierii i architektury, zastanawiano się też, czego w nich więcej. Próżno jednak szukać echa tych dyskusji w ówczesnej prasie warszawskiej. Żumaliści patrzyli na halę okiem sklepikarzy.

„Kurier Warszawski” pisał: *Hale od frontu (...) mieszczą 24 sklepy; jatek 60, posiadających tyleż klatek w ochładzalni, kramów 144, jatek rybnych i sklepów. Gazeta pozwoliła sobie na dość odważną krytykę: Wadą hal jest brak miejsca dla wozów z produktami, oraz targu dla przekupek przechodnich, lecz winien temu magistrat, który poskapił na kupno sąsiedniego placu od ulicy Polnej, nieodzownego dla całości hal targowych.*

Artykuł powstał, gdy hala nie miała jeszcze nawet oświetlenia, po „otwarciu” dla prasy, której przedstawiciele zaproszono na poranek 31 grudnia 1908 roku, tak by relacja znalazła się w popołudniówkach. Oficjalne otwarcie nastąpiło zaś 2 marca 1909 roku. Przybył Wiktor Litwiński, pełniący obowiązki prezydenta miasta (niedługo potem podał

się do dymisji z powodu nadużyć finansowych), specjalny gość z Petersburga – delegat ministerstwa spraw wewnętrznych, niejaki Buthakow i cała rzesza urzędników.

Na początku istnienia hala nie była dochodowa, o czym także dowiadujemy się z ówczesnej prasy.

W ciągu dziesięciu miesięcy istnienia hale przyniosły miastu 7034 rubli i 35 kopiejek, 3795 rubli 65 kopiejek mniej niż to przewidywał budżet. Po dwóch i pół latach od otwarcia na ogólną liczbę 240 sklepów i straganów wynajętych było zaledwie 85. To skłoniło magistrat do 30-procentowej obniżki czynszów za stoisko. Dopiero pod koniec 1911 roku pojawiła się w „Kurierze” umiarkowane optymistyczna informacja, że dochody z hali wzrosły o całe 500 rubli. Przyczyn takiego obrotu spraw jest kilka, ale najważniejsze są dwie: Koszyki nie były wielkim targowiskiem, a ludzie szli tam, gdzie było dużo i tanio; okoliczne przekupki, które sprzedawały na ulicy, nie płacąc podatków i nie poddając się kontroli sanitarnej, były zaś konkurencją trudną do pokonania. Wydawałoby się, że zamożna dzielnica musi mieć halę na poziomie, problem w tym, że owa dzielnica nie była wówczas



Kobiety czekające na wydanie przydziału kartkowego rok 1917.

rozległa. Dopiero po pierwszej wojnie światowej stolica zaczęła się szybko rozwijać.

Na zdjęciu widzimy halę z czasów pierwszej okupacji niemieckiej w latach 1915–1918. Kobiety i dziewczęta czekają przed wejściem w kolejce po żywność. Wszyscy wyglądają na zabiedzonych, jedna z dziewcząt nie ma na nogach butów. Jarosław Zieliński uważa, że fotografia ta pochodzi z 1917 roku, kiedy w Warszawie zaczęło brakować jedzenia.

W międzywojniu hala pełniła funkcję zadanego bazaru spożywczego, ale próżno szukać jakichś szcze-

gólnie ciekawych relacji na jej temat. Nie grasowały tu gangi, nie było takich postaci, jak władca innego warszawskiego bazaru – Kercelaka – Tata Tasienka. Zwyczajne targowisko dla dobrze sytuowanych ludzi. Jerzy Kasprzycki pisał, że ceny były tu wyższe niż gdzie indziej, a asortyment niekoniecznie lepszy. Zmieniło się to wraz z wybuchem drugiej wojny światowej. Podczas oblężenia Warszawy Hala Koszyki zaopatrywała całą okolicę w koninę. Dwukrotnie – w maju 1940 i w lipcu 1943 roku – policja granatowa zorganizowała obławę na nielegalnych handlarzy koniną. Sama hala w czasie wojny przestała być eleganckim bazarem.



Budowa hali kosztowała ponad 396 tys. rubli.

Kosztowna Hala

Dwa place pod budowę hali, na których mieścić się łałwark Koszyki, magistrat kupił za kwotę 185 205 rubli, sumę na owe czasy znaczną. Całkowity koszt budowy wyniósł 396 422 ruble. Nad pracami miała czuwać specjalna komisja, która składała się ze znanych architektów. Zasiadał w niej m.in. Henryk Julian Gay, który doskonale wiedział, jak się buduje nowoczesne hale targowe. Nie zachowała się korespondencja pomiędzy komisją a architektem, ale wiadomo, że projekt był modyfikowany.

Architektura budynku była secesyjna, choć jego styl określa się także jako secesyjno-modernistyczny. Samo łączenie elementów kamiennych i tynkowanych z klinkierem elewacyjnym wielu specjalistom kojarzy się z budowlami Petersburga

czy Moskwy. W ówczesnej prasie, ze względu na ceglana elewację hali, pisano o „motywach gdańskich”. Jarosław Zieliński twierdzi, że podobieństwo jest pozorne i wynika ze swobodnego kompilowania elementów różnych stylów historycznych, typowego dla eklektyzmu.

Secesja wykorzystywała z jednej strony rzemiosło, z drugiej – nowinki techniczne. To widać w Hali na Koszykach: z jednej strony ultranowoczesna, jak na owe czasy, konstrukcja stalowa; z drugiej – dopracowane detale, jak płaskorzeźby Zygmunta Otto, balustrady czy kratownice.

Na wykonawcę budowy wybrano firmę „Kuksz i Luedtke”, konstrukcję stalową dostarczył „Gostyrński i spółka”. Okucia, kraty i bramy o znaczących walorach artystycznych wykonał zaś warsztat Zielińskiego.



Juliusz Dzierżanowski, architekt Hali, miał 33 lata, gdy przydzielono go do zadania zaprojektowania hali.

ARCHITEKT UNIWERSALNY I RZEŹBIARZ PERFEKJONISTA

Hala na Koszykach jest unikalna w formie, bo jej twórcy byli wyjątkowymi ludźmi.

Twórcami hali byli ludzie zupełnie od siebie różni, choć prawie równolatkowie. Architekt Juliusz Dzierżanowski pochodził z polskiej rodziny ziemiańskiej, żyjącej na Ukrainie. Rzeźbiarz Zygmunt Otto był synem blacharza ze Lwowa. Pierwszy studiował w Petersburgu, drugi w Wiedniu, co w tamtych czasach miało artystyczne konsekwencje.

Gdyby przejrzeć zdjęcia i rysunki projektów Dzierżanowskiego, można śmiało powiedzieć, że był on architektem niezwykle wszechstronnym. Potrafił zaprojektować budynek w każdym stylu i to robił. Neorenesans? Proszę bardzo: pałacyk w tym stylu ciągle stoi przy ul. Emilii Plater w Warszawie, a mieści się w nim ambasada Maroka. Neoklasycyzm? Da się zrobić: do dziś można oglądać w stolicy jego kamienicę pod adresem Nowy Świat 4. Gdy

otrzymał zlecenie na kościół neogotycki w Baranowie, nieopodal Ostrołęki, wywiązał się z tego zadania, jakby był specjalistą w tym stylu. Mitośnicy przedwojennego modernizmu mogą wziąć go za czołowego przedstawiciela tego nurtu, gdy zobaczą jego budynki Funduszu Kwaterunku Wojskowego w Gdyni. Ale mniej więcej w tym samym czasie i w tym samym miejscu zbudował willę „Zacisze” w stylu dworcowym.

Najbardziej spektakularne dzieło w stolicy, czyli Kamienicę pod Messalką, Dzierżanowski zaprojektował w stylu czerpiącym z architektury średniowiecznych zamków. Przed wojną wydawano nawet pocztówki z jej zdjęciem. To on był twórcą pałacyku w Podkowie Leśnej, ulubionego miejsca spotkań mieszkańców tego miasta ogrodu. Pałacyk z trzema wieżami zbudowany na planie pięciokąta często nazywa się „kasynem”, bo Dzierżanowski – czego nie krył – zainspirował się budynkiem kasyna, jakie zobaczył we francuskim Vichy. Za secesję zabrał się tylko raz, właśnie w przypadku Hali na Koszykach i wyszło mu to znakomicie. Juliusz Dzierżanowski udowodnił, że architektura nie dzieli się na szkoły i nurty, ale na dobrą i złą.

Kamienica pod Messalką na Krakowskim Przedmieściu



Andrzej Dzierżanowski, urodzony w 1930 roku, trzeci z kolei syn architekta, wspomina: – W 1903 roku mojego ojca wysłano do Paryża, na swego rodzaju stypendium, by uczył się tam nowoczesnego budownictwa. To właśnie czas paryski sprawił, że jego architektura miała w sobie taką lekkość. Tam też oglądał nowoczesne hale targowe, co przydało mu się przy budowie Hali na Koszykach.

Kariera Dzierżanowskiego trwała nieprzerwanie do przejścia na emeryturę w 1936 roku. Od 1903 roku przez 17 lat pracował w warszawskim magistracie. W latach 1918–1920 pełnił nawet obowiązki Naczelnego Architekta Warszawy. Wtedy też przeżył największą tragedię: 15 sierpnia 1920 roku jego 17-letni syn Jerzy, jako ochotnik 201. Pułku Piechoty, zginął w walce z bolszewikami w bitwie nad Wkrą. Drugi z jego synów, 15-letni Lech, z powodu wieku nieprzyjęty w szeregi armii, bezskutecznie poszukiwał możliwości brata.

Architekt otrząsnął się po tragedii i przez dziesięć lat z powodzeniem prowadził własne biuro. – Żył na szerokiej stopie, lubił towarzystwo,

dobrze tańczył, śpiewał i grał na fortepianie. Nikomu nie odmówił pomocy, także wsparcia finansowego – wspomina Andrzej Dzierżanowski. – Ojciec właściwie był przedsiębiorcą budowlanym, bo wówczas architekt musiał doprowadzić prace do samego końca. Powodziło mu się świetnie, ale po jesieni 1929 roku, wraz z wybuchem kryzysu skończyły się zamówienia. Tata miał też swoje lata, dlatego wolął przejść na posadę rządową. Pracował w ministerstwie komunikacji, do jego obowiązków należał m.in. nadzór nad budową dworców. Miał wysoką pensję, około 700 złotych, nie mógł narzekać. W końcu na emeryturze wraz z mamą – jego drugą żoną – i ze mną postanowili się przenieść do Rabki, gdzie mieszkaliśmy w willi „Patria” – dodaje syn architekta.

Idylla nie trwała długo. W 1939 roku, po wkroczeniu Niemców Dzierżanowscy musieli przenieść się do Krakowa, gdzie w końcu zamieszkali w lokum kuzyna żony. – Tata wykładał w szkole technicznej, ale pensja wystarczała zaledwie na wykup głodowego przydziału kartkowego. Czasem pomagali uczniowie ze szkoły, którzy na przykład podarowali nam materiał na sandały dla

mnie. By nie umrzeć z głodu, musieliśmy się wyprzedawać. W tamtych czasach za parę butów można było dostać garnek masła. Ojciec chciał sprzedać swoją bogatą kolekcję obrazów, ale tych nikt nie chciał kupić, bo były zbyt awangardowe. Pamiętam, że dla zarobku namalował akwarelę Jezusa Chrystusa. Denerwował się, bo ręka, która miała błogosławić, wyglądała na groźną. Dopiero za trzecim razem wyszło mu dobrze – śmieje się Dzierżanowski junior.

Juliusz Dzierżanowski tworzył też grafiki, w których uwieczniał twarze z epoki. W jego cyklu akwareli pt. „Typy warszawskie” z początku XX wieku znajdujemy stoteczne modystki w kapeluszach z kwiatami i przekupki, których wierzchnim odzieniem był koc. Widzimy chłopca w sukmanie i religijnego Żyda, a także carskiego żołdaka. Owe typy ludzkie przemierzały Warszawę, gdy architekt budował Halę Koszyki.

Zmarł 24 kwietnia 1944 roku. – Ojciec pod koniec wojny był już bardzo schorowany. Martwił się, czy mama i ja poradzimy sobie bez niego. Bardzo prawdopodobne, że nie wiedział także, co się dzieje z moim star-

Rysunek Dzierżanowskiego „Typy warszawskie” z początku XX wieku



szym przyrodnim bratem Lechem, który zdołał wydostać się z obozu na Majdanku i walczył w oddziale leśnej partyzantki AK – wspomina syn architekta.

Rzeźbiarz Zygmunt Otto był innym twórcą. Powiedzielibyśmy, że to ktoś, kto wyznaje pewną ideologię i kurczowo trzyma się jej zasad. Podobno zaraził się secesją na studiach w Wiedniu, ale później jego rzeźby były do bólu realistyczne i klasyczne w formie. Wielkie, wznoszące się do lotu orły górują nad monumentalną siedzibą budynku Banku Towarzystw Spółdzielczych przy ul. Jasnej w Warszawie, a każdy, kto choć raz w życiu zrobił zakupy na Koszykach, stanął przed muzeum Zachęty, Teatrem Polskim czy przejechał mostem Poniatowskiego, zetknął się – choćby nieświadomie – z twórczością tego artysty.

Otto to wzorowy „konkursowicz”. Wygrywał jeden konkurs za drugim – sama tylko Zachęta przyznała mu w różnym czasie dwie główne nagrody. Najpierw zawiązał spółkę z artystą totewskim w Rydze, potem jego „ziemią obiecaną” stała się Warszawa. Tu także zawiązał nieformalną, ale niezwykle trwałą spółkę z uznanym architektem Stefanem Szyllerem – miłośnikiem renesansu i baroku, twórcą takich budowli, jak gmach Zachęty, Politechniki Warszawskiej czy Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Szyl-

ler projektował, Otto rzeźbił. Do wybuchu I wojny światowej powodziło mu się świetnie, ale w czasach II Rzeczypospolitej nie miał już tylu zleceń. Podobnie jak jego mistrz Szyller, tworzył dla Kościoła katolickiego. Jarosław Zieliński uważa, że Otto, który rzeźbił klasycznie, nie potrafił się po prostu przestawić na kolejne mody. Ale potrafił rzeźbić inaczej. Przykład znalazł bloger Adam

Przystupa, opisując płaskorzeźbę na domu przy ulicy Madalińskiego na warszawskim Mokotowie: Zygmunt Otto, uznany rzeźbiarz rodem ze Lwowa pozwolił sobie na odrobinę fantazji. Jego syrenka, tak jak koleżanki dzierży w dłoniach miecz i tarczę, ale jej włosy nie są upięte czy fantazyjnie rozpuszczone (ta wersja herbu obowiązywała w okresie PRL-u). Ku naszemu zaskoczeniu, równo przycięte układają się na kształt fryzury określanej zwykle jako bob. Prosta grzywka, ścięta do linii brwi, pozostałe włosy przycięte w równej linii, nieco poniżej uszu. Typowa fryzura lat dwudziestych. Rzekłbyś, odnaleźliśmy chłopczycę wśród syreniego rodu. Albo w naszym artyście obudziło się poczucie humoru albo po prostu chciał zarobić parę złotych. Tej zagadki już pewnie nie rozwikłamy.

Otto przeżył Dzierżanowskiego o siedem miesięcy – zmarł 12 listopada 1944 roku. Doczekał jeszcze, niestety, widoku zniszczeń Warszawy po upadku powstania. Nie może być chyba większej tragedii dla kogoś, kto uczynił to miasto piękniejszym.



Jeden z orłów Zygmunta Otto nad budynkiem dawnego Banku Towarzystw Spółdzielczych



Ulice Koszykowa i Piękna ok. 1915 roku

DZIELNICA PO PRZEJŚCIACH

Okolice Koszykowej znów stały się zamożną dzielnicą Warszawy.

– Jak hala zniknęła, to wszyscy się czuliśmy jakby ktoś nam rękę odciął – mówi Elżbieta Wichrowska, fryzjerka pracująca na Koszykowej od 1973 roku. Seniorka w swoim fachu (rocznik 1949), energiczna pani o bujnych czerwonych włosach, podczas rozmowy w swoim zakładzie na dowód miłości do zabytkowej hali targowej pokazuje mi dwie cegły. – Wzięłam je od robotników na pamiątkę, gdyby Koszyków już miało nie być – oświadcza.

O starych mieszkańcach Koszykowej i okolic mówi „my”, bo wszyscy się znają. Pani Ela to instytucja, pracować będzie do śmierci, co przepowiedziała jej pierwsza szefowa. Pochodzi z Łomży, na Koszykowej zaczęła pracować w wieku 24 lat. Wygląd jej salonu oparł się modom: wystawę zdobią oldskulowe manekiny z perukami, w środku ściany obite są drewnianymi listwami, panuje twórczy nieład, pełno tu kwiatów żywych i sztucznych, zabytkowych elementów wyposażenia, wśród nich wielka hełmowa suszarka. Zakład, który powstał w 1904 roku, pokochali filmowcy – ostatnio zagrał w „Jacku Strongu” Władysław Paśkowski. Kiedyś zaś podobno strzygł się tu nawet sam Marszałek Piłsudski.

Wystarczy przejść się Koszykową (odcinkiem między placem Konstytucji a Alejami Niepodległości, który wraz z przyległym kawałkiem Pięknej, Lwowskiej i Noakowskiego tworzy jakby osobną dzielnicę), by zobaczyć, że okolica ma bogatą historię. Przy Koszykowej 69 mieszkał wielki bard Warszawy Mieczysław Fogg, z mieszkania przy Pięknej 66 wyruszył w swój ostatni rejs lotnik Stanisław Wigura, za rogiem, przy Lwowskiej, sto metrów od Hali Koszyki mieszkała współzałożycielka „Mazowsza”, Mira Zimińska-Sygietyńska. – *Przedwojennych mieszkańców poznawało się łatwo, bo poruszali się z taką gracją i elegancją* – wspomina pani Ela.

Jeszcze przed wojną dzielnicę określano jako inteligencjkę; mieszkali tu ludzie tzw. wolnych zawodów, lekarze, a po pierwszej wojnie, w wolnej Polsce, także profesorowie politechniki. Jeszcze przed 1915 rokiem w okolicy żyło sporo Rosjan, a do 1939 roku co najmniej kilkunastu zamożnych przedsiębiorców żydowskich. Wspomniany już Jerzy Kasprzycki pisał w „Korzeniach Miasta”: *Do tego środowiska wślizgują się coraz gęściej – początkowo nieśmiało, potem pewniej – pośrednicy i handlarze w obrocie nieruchomo-*

ściami. Na przelomie stuleci o budowie domu w tych stronach decydowały niskie stosunkowo ceny gruntów albo nawet kaprys właściciela, który chciał odegrać rolę pionierską na ówczesnych dalekich krańcach miasta (jego granica biegła tuż za Polną...). Już dziesięć lat później myślano przede wszystkim o dobrym interesie. Kasprzycki pisze, że wśród właścicieli domów budowanych w latach 1900–1914 było niewielu finansowych magnatów, byli za to ludzie, których dziś określilibyśmy mianem wyższej klasy średniej. Standardem były jednak mieszkania po 120–150 metrów kwadratowych, a niektóre – zwłaszcza na parterze – miały nawet 200–300 metrów i siedem-osiem pokoi. To oznacza, że dzielnica była raczej ekskluzywna, bo przypomnijmy, że jeszcze przed wojną zaludnienie w Warszawie było rekordowe, a własne łóżko często było luksusem. Bywało, że jedna osoba spała na nim w dzień, a druga w nocy – jak choćby Nikodem Dyźma, postać literacka stworzona przez Tadeusza Dołęgę-Mostowicza, który w powieści dzielił łóżko z ladacnicą Mańką.



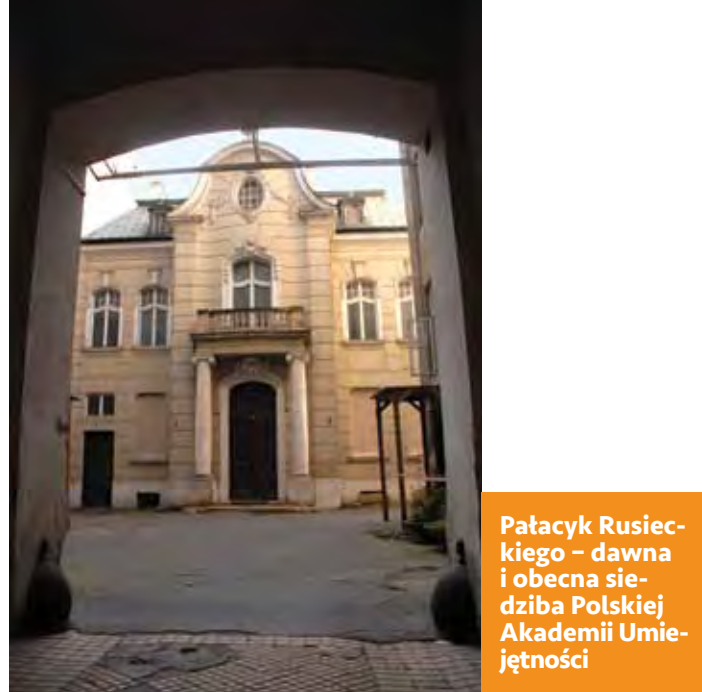
Kiedy handlarz towarem łokciowym chce dorównać zamożnym prawnikom i profesorom, to miasto korzysta na takiej rywalizacji. Trójkąt Koszykowa, Lwowska i Noakowskiego stał się jednym z najbardziej wielkomiejskich fragmentów Warszawy. Z dobrą architekturą. Po wojnie dobudowano w okolicy dość eleganckie domy modernistyczne.

Osobliwością ulicy Lwowskiej jest mieszczący się za bramą kamienicy pod numerem 13 pałacyk Rusieckiego, zbudowany w 1914 roku (kamienica frontowa jest o rok starsza). Warto uprosić kogoś z obecnych mieszkańców o wpuszczenie na podwórze, bo maleńki eklektyczny pałac jest ładny i kryje ciekawą historię. Jego fundatorem był Stanisław Ursyn-Rusiecki, polski szlachcic z Ukrainy, ceniony w Warszawie kolekcjoner sztuki i darczyńca. Frontowa kamienica również należała do Rusieckiego. Nad wejściem do pałacyku widać herb Rusieckich – Rawa (alternatywne nazwy to Rawicz, Panna na niedźwiedziu czy Ursyn), przedstawiający pannę siedzącą na niedźwiedziu, tutaj z

dewizą *Genus a Bohemie ducibus*. W opracowaniu odrodzonej po 1989 roku Polskiej Akademii Umiejętności o pałacyku czytamy, że herb ten przysługiwał *od XIV w. potomkom Werszowców, możnowładców czeskich, których wojny domowe zmusiły w XII w. do schronienia się w Polsce, co wyjaśnialoby sens dewizy i powód pojawiania się tu i ówdzie w dekoracji wnętrza motywu czeskiego lwa*. Za pałacem znajduje się niewielki ogródek z fontanną.

Po pierwszej wojnie światowej dobra Rusieckich na Ukrainie skonfiskowała władza sowiecka.

Szlachcic zbiedniał, dlatego musiał wynajmować pokoje w pałacyku. Zarządzanie nieruchomością nie wychodziło zbyt dobrze Stanisławowi Rusieckiemu, który w ogóle był człowiekiem dość nieporadnym życiowo. Nigdy jednak, nawet w najtrudniejszych chwilach, nie zażądał zwrotu dzieł sztuki, które przekazał polskim instytucjom kulturalnym. A podarował skarby: ponad dwieście płócien, wśród których znalazł się m.in. obraz Pietera Bruegla „Walka kamawatu z postem”, największe zbiory polskiej porcelany i szkła, tkaniny, meble, militaria, złoczone brązy, pasy polskie, zegarki, wyroby



Pałacyk Rusieckiego – dawna i obecna siedziba Polskiej Akademii Umiejętności

ze srebra itp. Wiele zbiorów przetrwało wojnę i do dzisiaj możemy się nimi cieszyć.

Przed drugą wojną w domu nr 13 mieściła się, ciesząca się dobrą renomą, klinika położnicza „Sano”. W czasie powstania pełniła funkcję szpitala polowego. Szczęśliwie budynek przetrzymał walki – to znaczy stały mury, bo okien i wyposażenia już nie było. Zgodnie z wolą właściciela, który zmarł podczas wojny, pałacyk został przekazany przez jego syna, Zenona Władysława Gólaszewskiego-Rusieckiego, testamentem z 30 stycznia 1946 roku Polskiej Akademii Umiejętności.

W grudniu 1952 roku działalność PAU jednak przerwano, nie likwidując jej jako instytucji. Obiekt zaś trzy lata później trafił się związkowcom z branży kulturalnej, którzy odrestaurowali zabytek i troskliwie się nim opiekowali. Tu przychodziło się załatwiać sprawy socjalne aktorów, reżyserów, literatów, tancerzy itd. Bywali tu wszyscy ministrowie kultury – za komuny, jak też za demokracji, od Teichmy do Zdrojewskiego. W stanie wojennym władza zamknęła pałacyk w zemście za artystyczny bojkot junty Jaruzelskiego. Po trzech latach wprowadzili się tu ponownie związkowcy z nowo utworzonej Federacji Związków Zawodowych Pracowników Kultury i Sztuki. Od 2011 roku pałac ponownie przeszedł we władanie PAU.

Okolice zawsze tętniły życiem intelektualnym. Przed wojną na Lwowskiej spotykali się niezależni filmowcy ze Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego START, które propagowało tzw. społeczne kino. Dystansowali się od – jak mówili – „grajdola filmowego”, czyli ówczesnego mainstreamu. Ludzie START-u robili zaangażowane dokumenty w manierze artystycznej, np. reportaż z położonego nieopo-

dal, przy Polnej toru wyścigów czy z warszawskiego Kercelaka. Ich filmy nie przetrwały wojny, ale spowodowały spory ferment w ówczesnym polskim kinie.

W mieszkaniu Mieczysława Foggę podczas okupacji przechowywano uciekinierów z getta żydowskiego – Ivo Wesbiego, kompozytora i szefa orkiestry z wytwórni Syrena Elektro i jego rodzinę. Foggę wraz z dozorcą, panem Wacławem, uratowali jeszcze jednego żydowskiego warszawiaka, którego znaleźli ukrywającego się w bramie przed bojówką Hitlerjugend. W mieszkaniu Foggów, ale i w wielu innych urządzano tajne komplety, czyli zakazane przez Niemców nauczanie. Wszak w okolicy ciągle mieszkali kompetentne kadry.

14 września 1940 roku przy Lwowskiej 1, podczas próby aresztowania trojga członków tajnej organizacji konspiracyjnej – Komendy Obrońców Polski, zastrzelony został funkcjonariusz Gestapo. Akcja wyglądała tak: dwaj gestapowcy wpadli do jednego z mieszkań i kazali wszystkim ustawić się pod ścianą z podniesionymi rękami. W pewnej chwili Jan „Litwin” Bogobowicz wyjął ukryty w rękawie pistolet i zastrzelił



Hala na Koszykach po nalocie sowieckim

gestapowca, a w walce z drugim całą trójka konspiratorów została ranna. Wszyscy wyskoczyli na ulicę, gdzie granatowy policjant aresztował ranego „Litwina”. Pozostali uciekli, lecz niebawem i oni zostali zatrzymani. W odwecie Niemcy aresztowali kilkunastu mieszkańców dwóch domów na Lwowskiej i Noakowskiego 4. Zdarzenie, jakich wiele podczas walki z okupantem, ale prawdopodobnie po tym incydencie Niemcy zdecydowali, że rozstrzelają ponad dwustu polskich patriotów w Palmirach. To była jedna z kilku masowych egzekucji w tym miejscu. Także tam, trzy miesiące wcześniej rozstrzelano mieszkańca domu przy Noakowskiego 16 – biegacza i złotego medalistę olimpijskiego z Los Angeles Janusza Kusocińskiego, który zawiązywał komórkę konspiracyjną wśród sportowców.

Koszyki wyszły nawet niedrażnione z nalotów niemieckich z września 1939 roku, halę zbombardowali dopiero Sowieci. To ciągle mało znany fragment naszej historii: w nocy z 12 na 13 maja 1943 roku nadleciały nad Warszawę sowieckie bombowce z zamiarem zniszczenia torów kolejowych i dworców. Bomby poleciały jednak na rejony zasiedlone przez zwykłych mieszkańców. Zginęło 300 osób, zniszczono ponad 60 budynków, jedna z bomb trafiła też Halę na Koszykach, co naruszyło jej stalową konstrukcję. Poważnie uszkodzonych zostało kilka kamienic na Koszykowej i w okolicy. Sowieci zrzucili wtedy także ulotki z zapewnieniem Stalina, że Polska po wojnie będzie „silna” i „niepodległa”.

Rok później, w sierpniu 1944 roku, na Koszykowej i sąsiednich ulicach pojawiły się barykady – jedna przy samej hali. Tego kwartału stolicy przed pancernymi siłami Wehrmachtu bronił 3 Batalion Pancerny „Gólski” AK z 6 Zgrupowania Śródmieście. Kilkakrotnie niemieckie siły pancerne próbowały się wdrzeć w głąb ulic, ale bezskutecznie. Przez całe powstanie na Lwowskiej i Ko-



Barykada na Lwowskiej

szykowej powiewały polskie flagi, a ludzie oglądali walki z balkonów – przynajmniej w początkowej fazie zrywu. – *Niemcom łatwiej było zgromadzić czołgi i działa na Polu Mokotowskim i stamtąd nas ostrzeliwać. Po zaciętych walkach wróg opanował Politechnikę Warszawską i front ustabilizował się na kilka tygodni na ulicy Noakowskiego* – wspomina Konrad Donau-Szpindler, (rocznik 1922), jeden z żołnierzy batalionu. Bojowego ducha powstańców z „Gólskiego” wspierał sam Mieczysław Fogg, urządził nawet koncert w wyzwolonym gmachu wydziału architektury (w sumie dał ich ponad sto podczas powstania). – *Niemcy musieli słyszeć jego piosenki, bo już wówczas siedzieli w głównym gmachu politechniki* – mówi Donau-Szpindler. Inną dobrą duszą

chłopców z „Gólskiego” była Mira Zimińska, późniejsza założycielka zespołu „Mazowsze”, która w czasie powstania występowała w Teatrze Frontowym AK. – *Pamiętam, że dała nam występ, a później zaprosiła nas do swojego mieszkania na Lwowskiej i częstowała wszystkim, co miała. No i chłopcy rzucili się na jedzenie. Odwiedzili ją jeszcze kilka razy i w końcu zjedli jej wszystkie zapasy. Spytałem zmartwiony: „I co Pani teraz robi?”. Wówczas dała mi jeszcze dużą paczkę herbaty. Nie zdołaliśmy jej wypić, bo powstanie upadło. W niewoli resztki tej herbaty wymieniałem na chleb – wspomina Donau-Szpindler. Pewnego dnia wygodni powstańcy wpadli nawet do opustoszałej Hali Koszyki w poszukiwaniu jedzenia, ale znaleźli jedynie małe ilości masy.*

19 sierpnia 1944 roku, Politechnika Warszawska została zdobyta przez Niemców pomimo zacieklej obrony powstańców. Zacięte walki toczyły się o budynek Chemii, z którego powstańcy się w końcu wycofali. Niemcy urządzili rajd czołgami po Lwowskiej, ale po tym jak ich obrzucano z bram koktajlami Mołotowa, nie ponawiali takich ataków.

Czołgi wroga nie miały dostępu do Koszykowej czy Lwowskiej, ale po dachach grasowali „gołębiarze” – niemieccy snajperzy. W szesnastym dniu powstania jeden z nich zastrzelił Barbarę „Julę” Wolską, szwagierkę Jana Nowaka Jeziorańskiego. 9 września rano powstańcy urządzili na niego polowanie. Wdrapali się na dach czteropiętrowego domu, ale Niemiec ich usłyszał i rzucił granat zza drzwi. Jeden z powstańców, niejaki „Orzeł”, w cywilu piłkarz, odbił go wolejem z powrotem do środka mieszkania, w którym grasował strzelec wyborowy. Granat wybuchł, ale Niemiec już zdążył wejść na dach i próbował wskoczyć na sąsiedni dom. I właśnie wtedy trafiła go kula z pistoletu Janusza „Pilawy” Kozłowskiego. „Gołębiarz” spadł na podwórko.



Polowanie na „gołębiarza”

Kazimierz Zenon Skierski, pracownik Polskiego Radia i literat, tak wspominał po wojnie dzień 17 września 1944 roku: *Cała ulica Lwowska to ostatni rejon wolności. Po zniszczeniu centrum, teraz przychodzi kolej na część południową miasta. W gruzach leży Wspólna, Hoża, Krucza, Skorupki, moloch ognia i półtoratonowe pociski najcięższej artylerii wciąż zbliżają się do Koszykowej. Ulica Lwowska jest jeszcze najspokojniejsza, najpewniejsza. Mieszkam 20 metrów od barykady, zaraz za nią jest Politechnika, w której siedzą Niemcy. A dalej jest Pole Mokotowskie, z którego zbliżają się czasem czołgi i zamaskowane krzakami biją w pustą ulicę. Po dniach*

Powstańcy z Batalionu „Golski” na dziedzińcu Wydziału Architektury przy ul. Lwowskiej 12.



chłodu zaczyna świecić słońce. W taką pogodę zjawiają się sowieckie samoloty i bombardują niemieckie pozycje. Wtedy miasto jest bezpieczne. Wtedy wychodzę na balkon. Z czwartego piętra widzę fragment Pola Mokotowskiego, oświetlonego pięknym słońcem. (Cytat pochodzi z książki „Dni walczącej stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego” Władysława Bartoszewskiego).

Reduta Noakowskiego-Lwowska-Śniadeckich-Nowowiejska wraz z Halą na Koszykach broniła się do upadku powstania. 3. Batalion pancerny „Golski” utrzymał swoje pozycje. Jego żołnierze wymaszerowali 5 października przez barykadę na ul. Śniadeckich. Wraz z nimi wyszli do niewoli niektórzy oficerowie Ko-

mendy Głównej AK z Naczelnym Wodzem, generałem Tadeuszem Borem-Komorowskim.

Konrad Donau-Szpindler przeszedł przez trzy obozy w Niemczech, skąd w końcu uciekł i przedostał się do armii Andersa. Po wojnie wrócił do Warszawy i został architektem. Po 1989 roku on i jego towarzysze broni dopilnowali, aby na dziedzińcu gmachu Wydziału Architektury umieszczono tablicę pamięci poległych z 3. Batalionu Pancernego „Golski”. – *To właśnie tu pogrzebaliśmy w czasie powstania ponad 160 naszych kolegów. Po wojnie zostało nas około trzystu, dziś może kilkudziesięciu, ale na uroczystościach widzę pojedyncze osoby – mówi Donau-Szpindler.*



W głębi
po lewej
zburzona
kamienica
przy
Lwowskiej 14

Wojna, a potem odbudowa nie oszczędziły tego kawałka Warszawy.

Sama Koszykowa została po wojnie „rozerwana” osiedlem MDM – pokazową dzielnicą socrealistyczną, ale część kamienic ocalała. Zachwyca wielka modernistyczna kamienica na rogu Lwowskiej i Koszykowej, czerpiąca z architektury obronnej średniowiecza, odbudowano m.in. spalony główny gmach politechniki i Wydział Architektury. Studenci tego kierunku zwykle latem przesiadują na Koszykowej i Lwowskiej, szkicując kamienice, budowane w czasach, kiedy bujna wyobraźnia twórców nie dawała jeszcze mrozących krew w żyłach rezultatów. Samo otoczenie hali niewiele się zmieniło. Pani Ela przechowuje zdjęcia starych kamienic, na przykład tej rozebranej, z wieżą, która przylegała do jej adresu – po wojnie była mocno nadszarpnięta, więc jej nie odbudowano. – Zawsze, jak idę do pracy to patrzę na kamienice z naszej ulicy. Ciągłe znajduje jakieś detale, których wcześniej nie zauważyłam – mówi mistrzyni fryzjerstwa. Ale dla komunistów kamienice były pozostałością po Polsce burżuazyjnej i nie mogły liczyć na ochronę. Jeszcze w latach 70. Koszykową pozbawiono dużej budowli, która stała na rogu tej ulicy

i Lwowskiej, po północno-wschodniej stronie. Chodziło o „poszerzenie ulicy Lwowskiej” i zdobycie przestrzeni na parking. Kiedy dziś patrzymy na zdjęcia monumentalnej, historyzującej kamienicy z Lwowskiej 14, trudno zrozumieć, jak można było popełnić taką zbrodnię. O owym domu „Stolica” w 1977 roku napisała w tytule: „Stary i niepotrzebny”, a inna gazeta określiła go mianem „zawalidrogi”.

Zaraz po wojnie planowano stopniową zagładę całej dzielnicy. Komuniści wprowadzili lud do Śródmieścia, a dokładnie jego „element” do starych profesorskich kamienic. – Standard tych domów po wojnie dramatycznie się obniżył, więc uważano, że kamienice nadają się jedynie na mieszkania komunalne. Pewnie brano pod uwagę, że zostaną jeszcze bardziej zdewastowane, ale nie przejmowano się tym. „Burżuazyjne” mieszkalnictwo po wojnie uważano za kicz, który kiedyś trzeba będzie wyburzyć – mówi warszawianista Jarosław Zieliński.

Jeszcze w styczniu 1945 roku do swojego mieszkania na Koszykowej wrócił Fogg – było wyszabrowane, ale ocalało pianino. Tuż po wojnie syn piosenkarza założył tu wytwór-

nię Fogg Records, która działała do 1953 roku, kiedy komuniści zakazali działalności prywatnym firmom fonograficznym.

Inteligenci i artyści ciągle tu mieszkali (mieszkańcami Lwowskiej byli m.in. Wojciech Młynarski i Jerzy Gruza), tyle że byli już w mniejszości, o czym zaświadcza nowy przydomek, jaki zyskał ten fragment miasta: trójkąt bermudzki. Jeden z dawnych mieszkańców tego rejonu wspomina, że na Noakowskiego w co drugiej kamienicy była co najmniej jedna melina. – W PRL pili wszyscy: i lumpenproletariat, i inteligencja. Często razem. Pamiętam, że w 1977 roku w obławie na klientów melinarzy na Noakowskiego wpadło kilku profesorów i docentów z politechniki obok miłośników bimbru. W budynku przylegającym do Hali na Koszykach funkcjonowała wyjątkowo podła knajpa, w której często fruwały kufle – mówi.

Pani Ela, fryzjerka, wspomina z rozrzewnieniem czyny społeczne: wywożono do pracy w weekendy całymimi ulicami, więc sąsiedzi mogli się lepiej poznać. – Było ciężko, ale panowała ogromna życzliwość. Kiedy na hali pojawiał się jakiś towar, lu-

dzie nawzajem się informowali i wystawiali w kolejkach sobie nawzajem różne „rarytasy”, jak choćby szynkę czy kawę, pilnowali mieszkań – wspomina.

Po 1989 roku kolejki – jeśli istniały – to do sklepu nocnego. Dziedziniec przed halą nie był najlepszym miejscem do spacerów wieczorami. W kamienicy przy Pięknej, naprzeciwko hali, działał z kolei ośrodek terapii antyalkoholowej. Nie było chyba lepszego miejsca na ulokowanie tej instytucji.

W latach 90. niezwykle modnym miejscem była „Piwnica u Architektów” mieszcząca się w piwnicach Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Także w piwnicach, na rogu Lwowskiej i Koszykowej działało „Argo”, gruzińska knajpa, w której bywali znani aktorzy i reżyserzy oraz fajna z sąsiedztwa. Konstantyn Ciciszwili, właściciel klubu prowadził z gośćmi dysputy o kulturze, ale potrafił też solidnie przylać, jak ktoś rozrabiał. Argo było ciekawym miejscem, bo obowiązywała tu selekcja, zanim stała się modna w warszawskich klubach. Właściciel spoglądał w kamerę i wpuszczał bądź nie. Przychodzili tu



Zrewitalizowana kamienica przy Koszykowej 58.

aktorzy, reżyserzy, członkowie gruzińskiej diaspory i tzw. stali bywalcy. Dziś już tych knajp nie ma. Modnie jest bywać w barach na pobliskich ulicach Poznańskiej czy Wilczej. Jedną z najbardziej awangardowych knajp warszawskich na moment zainstalowała się w samej hali, a dokładnie w jej wschodniej nawie. W maju 2013 roku na 10 miesięcy ulokowano tu filię popularnej Charlotte

z placu Zbawiciela. Serwowano francuskie pieczywo, kanapki z kozim serem i włoską szynką, słowfoodowe specjały oraz prosseco nalewane „z kija”. Zdomowili się tu hipsterzy – subkultura wcześniej nieznana bliżej Koszykom. W marcu 2014 roku, w przeddzień zamknięcia przed remontem, zorganizowano koncert, a potem tańczono do rana.

Starych mieszkańców co roku szybko ubywa. W kamienicy, gdzie pani Ela prowadzi zakład fryzjerski, została już tylko jedna „stara koszyczanka”. Na Lwowskiej mieszkańcy zaczęli się integrować, kiedy w styczniu 1996 roku, po włamaniu do jednego z mieszkań bandyci zabili przypadkowego przechodnia – studenta politechniki Wojtkę Króla. Ale później znowu nastąpiło rozluźnienie.

Po 1989 roku kamienice zaczęły wracać do właścicieli, a ci zaczęli je „oczyszczać”. Windowali czynsze i wypychali starych lokatorów – nie robiono wyjątków. Kiedy dzwonię pod przypadkowy numer w jednej z odnowionych kamienic, słyszę w domofonie zdecydowany męski głos: – *Starych mieszkańców już tu nie ma, bo nie było ich stać na mieszkanie tutaj* – mówi.

Co najmniej kilkanaście kamienic w całym trójkącie „wyczyszczone”, przybywa dobrze sytuowanych ludzi, bo mieszkania w kamienicach świadczą o zamożności. Ceny w okolicy osiągają nawet 13–14 tys. zł za metr kwadratowy.



Elzbieta Wichrowska w swoim zakładzie fryzjerskim z „uratowaną” cegłą ze starych „Koszyków”

Przy Koszykowej jest jeszcze kilka starych zakładów rzemieślniczych. Rymarze wymarli, zamknięty jest sklep pierwszej żony słynnego boksera Jerzego Kuleja, który zmarł w 2012 roku, ale jest jeszcze szewc, zegarmistrz, antykwariat, kaletnicy, warzywniak i sklep z lampami. Gdy siądziemy u państwa Błaszczaków, wśród ich pięknych starych żyrandoli i lamp dowiemy się, że świat się kończy, bo ludziom

na księgarnię. Szewc z Koszykowej (drugie pokolenie w biznesie) musi odmawiać wielkim sieciom, tyle ma zamówień z okolicy.

Choć na Koszykowej są dwa inne zakłady fryzjerskie, pani Eli Wichrowskiej też źle się nie wiedzie.

Przychodzi tu znana śpiewaczka z operetki, której wyciska łałę (dziś się fryzjerzy zwykle już tej sztuki nie znają), profesor z politechniki, miejscowi lekarze i biznesmeni, ale i sklepikarze, robotnicy, a także starzy pracownicy hali. Kiedy rozmawiam z panią Elą, ta w pewnej chwili podrywa się: – *Ojej, prawie zapomniałam. Dzisiaj imieniny jednej pani doktor, która tu mieszkała. Zaraz zadzwonię z życzeniami* – mityguje się. I podkreśla z dumą: – *Czeszę już czwarte pokolenie starych mieszkańców dzielnicy. Ciągłe czujemy się jedną wielką rodziną. Jak odwiedzam tych, co już się stąd wyprowadzili, to wszyscy bez wyjątku pytają mnie o jedno: kiedy postawią na nowo halę? Kiedy ruszą roboty? Myślą, że skoro jestem blisko, to mam jakieś tajne wiadomości. Hala była sercem tej dzielnicy, to ona dawała jej życie. Hala musi wrócić* – dodaje stanowczo.

wystarcza już dziś papierowy ersatz z Ikei, a młodzi nie kwapią się do poznawania tajników rzemiosła. Ale właśnie to jest szansa: fachowców jest mało, więc rośnie popyt na ich usługi. Wnuk i syn kaletnika z Pięknej kontynuują tradycję – pierwszy unowocześnił zakład dziadka (nazywając go „Lecznica Kaletniczą”), drugi otworzył parędziesiąt metrów dalej nowy punkt. Antykwariuszka z Pięknej też otworzyła jeszcze jed-

WZORCOWY BAZAR LUDOWY

Leopold Tyrmand tak opisywał Koszyki z przełomu lat 40. i 50. w swojej słynnej powieści „Zły”:

Ulica Koszykowa – to symbol targowiska. Jej nazwa określa jej charakter, jej charakter stworzył nazwę. Hale targowe wszędzie wyglądają jednakowo: są to przeważnie budowle o szerokich bramach i o żelaznych przęsłach, na których leżą dachy z solidnych desek. W środku rozchodzi się światło na oszklone stoiska pełne towaru, o szybach pokrytych ogromnymi cyframi i literami z białej farby, obwieszającymi aktualne ceny produktów. I tak też wyglądają warszawskie Koszyki.

W dniu kiermaszu Koszyki wyglądały osobliwiej niż zazwyczaj. Niezwykłość ta dotyczyła przede wszystkim ludzi. Cóż z tego, że cudowny, mieniący się dywan z kuszących wilgotną młodością główek sałaty oszłomiłby najwybredniejszych znawców zieleni, że zaimponowałby nawet Irlandczykom, którzy od wieków przywłaszczyli sobie monopol na ten kolor? Cóż z tego, że kunsztowne piramidy rzodkiewek przywodziły na myśl błogostawione zdrowym rumieńcem dziecięce policzki, urzekały apetycznością? Cóż z tego, że makaty i gobeliny wydałyby się tużinkową kotarą przy narzucie ze świeżutkiego – kopru, pokrywającej jed-



Hala Koszyki
w latach 50.

ną ze ścian i wyszywanej w delikatną koronkę z rozgwiazd, seledynowych kreszeczek, łodyżek i kwiatków? Cóż z tego, że pachnący zagajnik szczypiorku w wiotkich pęczkach pokrywał całe stoiska, że krotochwilna marchew, gderliwa pietruszka, wytworne selery i szparagi, cieplarniane pomidory i truskawki ze szklarni oraz mnóstwo rzadkich okazów pieczotowicie ułożonych, poklasyfikowanych i opatrzonych napisami, piętrzyło się wokół jak w cennej kolekcji żywych kolorów? To ściany Koszyków już widziały, takie pochwały słyszały już tutaj. Natomiast ludzie, którzy rozgościli się przy skarbach kiermaszu „Mazowieckiej Poziomki”, byli nowi i bardzo różni od zwykłych ludzi Koszyków. Była pomiędzy nimi taka sama różnica, jaka zachodzi pomiędzy psem a wilkiem, pomiędzy domowym kotem a rosomakiem, pomiędzy myśliwym a kłusownikiem: w gruncie rzeczy pochodzili z jednego pnia, z jednej rodziny

Handel
przed halą
zaraz po
wojnie



– różniły ich koncepcje i warunki życia. Osadli i spokojni sprzedawcy z Koszyków, potomkowie czcigodnych przekupów, handlarek i straganiarek, wkorzenionych głęboko w glebę swego kramu kramarzy i kupczyków, tak mieli się do owych wózkarzy i ulicznych owocarzy, jak stateczni kmiecie do niespokojnych drapieżnych nomadów i koczowników. Grubawe postacie w białych fartuchach spozierały z niepokojem spoza stałych stoisk na ową stronę hali, w której gospodarzyli przybysze: szybcy, nerwowi, krzykliwi sezonowcy, zorientowani na doraźny, gwałtowny zysk,

na tachel, przewalanke, kociot i zmyłkę, wychowani przez okrutną walkę uliczną, walkę z dostawcą o owoc, walkę z opornym klientem, walkę z prawem, w której najsukuteczniejszą bronią są błyskawiczne ucieczki przed nadciągającą z oddali sylwetką milicjanta. Stali tu teraz w ilościach, jakich Koszyki nie znają na co dzień, ubrani odświętnie w ciemnogrnatowe garnitury z niteczką, bez koszul i kołnierzyków, świecąc spod marynarek brązowymi, muskularnymi szyjami i piersiami w białych koszulkach gimnastycznych, w szerokich spodniach, spadających nisko z kaniem na grube zamszaki, w oprychówkach, w kolorowych, włóczkowych czapeczkach lub siatkach na głowach, ze spinaczami z kolistego, karbowanego drutu w prostych, gładko szczesanych do tyłu blond włosach, które to spinacze trzymają je mocno, aby się nie rozrzuciły w czasie bójek lub szybkiego biegu; gdzieś tam poprzetykani kobiecymi postaciami w chustkach na głowach, o twarzach ostrych i uszminekowanych, z nieodstępnym papierosem w zepsutych zębach lub pomiędzy grubymi palcami o karminowo polakierowanych paznokciach. Spod oprychówek, siatek i włóczkowych mycek spoglądały czujne, przytomne oczy, jasne i pijące lub ciemne i wyzywająco beczelne, blisko osadzone lub wbite w oczodoły młodych i starych, lecz nieodmiennie zniszczonych twarzy, na których wódka, gorączkowość życia w sezonie i nieodłączny krzyk wyryły specyficzne piętno.

Na zdjęciach powojennych widzimy, że dziedziniec przed halą tętni życiem: stoją straganiarki z wyplatany-
mi koszami, na metalowych wieszakach wiszą ubrania, obok stragany z owocami i warzywami, przekupka rozkłada skrzynki. Pod ścianą przyległej kamienicy, najprawdopodobniej na tyłach hali chłopci urządzili prowizoryczne kramy zbitę z desek i tam handlują. Nic dziwnego, że ludzie ściągali tutaj, bo wojna obeszała się dość łaskawie z okolicami Koszyków – przynajmniej w porównaniu z resztą stolicy. Wiele kamienic zostało poharatanych pociskami, jedna z nich, na Śniadeckich dumnie nosiła wojenne blizny jeszcze w późnych latach 90. Sama hala na Koszykach zajęta się ogniem od płonącej kamienicy przy Koszykowej 65, ale pożar zdążono ugasić. Wkroczenia wojsk sowieckich hala doczekała bez okien, z częściowo spalonym dachem i dziurami po kulach.

W 1949 roku Hala na Koszykach została odremontowana i oddana do użytku. Jednocześnie dokonana się rewolucja w życiu tego przybytku. Przestrzeń ciągle jeszcze eleganckiego targowiska zawłaszcza WSS „Spotem”, spółdzielnia co prawda z przedwojennym rodowodem, ale



Stan Hali na Koszykach zaraz po wojnie

po wojnie będąca sztandarową siecią placówek handlu „uspołecznionego”, czyli państwowego. Na zdjęciu w biuletynie WSS „Spotem” widać samego Bolesława Bierut, ówczesnego prezydenta komunistycznej Polski. Bierut wprowadzić nie otwierał odremontowanej hali, ale przybył ją obejrzeć. Na fotografii uwieczniono go przy stoisku z porcelaną w towarzystwie Henryka Wójcika, prezesa zarządu spółdzielni.

Spółdzielczy Dom Handlowy „Koszyki” nie jest już zwykłym sklepem. W biuletynie spółdzielni, we wstępie napisanym typowym dla tamtych czasów żargonem, kierownictwo WSS wyznaczyło dla hali rolę awangardy handlu socjalistycznego. W artykule „Nowe formy do-

tarcia do konsumenta” czytamy: *W chwili powstania WSS sieć sklepów detalicznego handlu uspołecznionego stanowiła wprawdzie znaczną pozycję do handlu prywatnego, ale tradycyjny handel bazarowy całkowicie opanowany był przez inicjatywę prywatną. Prymitywne, brudne budki i stragany prywatnych handlarzy niepodzielnie władały handlem bazarowym, stanowiąc siedlisko spekulacji i wyzysku konsumenta. W 1949 roku WSS w krótkim czasie*



Bolesław Bierut odwiedza Koszyki noszące wówczas nazwę „Bazar Ludowy”.

całkowicie wyparta prywatne budki i stragany z największego (!) bazaru w Warszawie przy ulicy Koszykowej, uruchamiając tam Bazar Ludowy nowoczesnie urządzonej. W chwili obecnej czynnych jest na tym bazarze 50 dużych estetycznych stoisk, reprezentujących 19 różnych branż.

Język typowy dla epoki: prywatni znaczący spekulanci, prywatne targowiska to brudne, brzydkie budy, stoiska państwowe są estetyczne. Łatwo się domyślić, jak rozwiązywano problem handlu prywatnych kupców – kazano im się wynosić. Władza likwidowała bazy pod byle pretekstem. Ale nawet w środku ciemnej stalinowskiej nocy nie dało się radykalnie zrezygnować z prywatnego handlu z prostego powodu: tzw. handel uspołeczniony zawsze był niewydolny. Komuniści wierzyli, że to tylko chwilowe niepowodzenia. Ludzie mieli przekonać się do państwowych sklepów, gdzie obowiązywać miały regulowane ceny i normy czystości.

Wolni kupcy co rusz pokazywali jednak swoją wyższość, bo jeszcze w latach 50. pojawiały się w hali prywatne sklepiki. Piętnuje to „Stolica” w tekście o Koszykach z 1959 roku: *Odbudowana hala miała zaopatrzyć Śródmieście we wszystkie produkty spożywcze, odzież i wyroby techniczne. Zasadniczo po zlikwidowaniu Hal Mirowskich (te hale odbudowano i przywrócono handlowi dopiero w 1962 roku – przyp. autora) KOSZYKI stały się jedynym, na dużą skalę, detalicznym dostawcą*



W 1949 roku Hala na Koszykach została odremontowana i oddana do użytku .

produktów rolnych i spożywczych w centrum Warszawy. WSS pragnęła na tym terenie konkurować z prywatnymi handlarzami, których chciało umieścić w hali targowej ministerstwo Handlu Wewnętrznego, po wygaśnięciu umowy dzierżawczej z WSS. Po długich utarczkach WSS handlarzy nie wpuściła, a M.H.W. pozwoliło im się ulokować przy ulicy Polnej, gdzie obecnie ich budy niesłychanie szpecą ulicę oraz plac Jedności Robotniczej. WSS od paru lat nosi się z zamiarem całkowitego przebudowania hali. Niestety nieprzychylność M.H.W., które w dalszym ciągu Koszyki chce oddać prywatnym sprzedawcom, nie pozwala WSS-owi na poczynienie jakichkolwiek zmian, na reperaturę, względnie całkowitą przebudowę hali. Ministerstwo popierało prywaciarzy, a „Spotem” chciało ich z hali usunąć. Można więc powiedzieć, że na Koszykach ciągle panowała popaździernikowa odwilż.

W 1964 roku przeprowadzono remont, który zmienił życie hali – najprawdopodobniej wtedy wyrzucono „prywaciarzy” i urządzono wzorcowy socjalistyczny supermarket. Powstały duże sklepy: spożywczy samoobsługowy, przemysłowy – „1001



Hala Koszyki miała stać się wzorcową placówką handlu uspołecznionego. WSS „Spotem” jako gospodarz hali energicznie walczył z „prywaciarzami”.





Jak na owe
czasy na
Koszykach
można było
dostać towary
luksusowe.

drobiazgów” i odzieżowy – „2002 wzory”. W sumie spożywczych stoisk było 18, a przemysłowych 32. Koszyki codziennie odwiedzało wówczas trzy tysiące ludzi, a zysk hali w 1963 roku wyniósł 190 mln zł, co oznaczało 30 mln dodatkowego dochodu w porównaniu z wcześniejszym rokiem. Jest to największy procent zysków osiągnięty w podobnych placówkach spółdzielczych w kraju – donosiła z dumą „Stolica” w 1964 roku. Pisano, że na niektóre produkty hala ma wyłączność: Są jedynym w Warszawie sprzedawcą szkła laboratoryjnego, wyrobów powoźniczych, dodatków szewskich, a także mioteł wiklinowych (roczna sprzedaż 150 tys. sztuk).

Dawni bywalcy wspominają, że na przelocie lat 50. i 60. w hali było sporo prywatnych sklepików. – Koszyki nie były ekskluzywne, to była hala raczej dla biedoty. Ludzie, którzy mieli większy zasób portfela, chodzili na zakupy do otwartego w 1961 roku Supersamu obok placu Unii Lubelskiej. Tam wypadało bywać. Podobnie jak później na bazarze na Polnej, gdzie można było kupić rzeczy, o których ludziom w socjalizmie się nie śniło – wspomina jeden ze starych mieszkanców. Zaradni Polacy zarabiali coraz więcej i wówczas takie miejsca, jak Polna, rosły w siłę, podczas kiedy Koszyki stawały się „zwykłym spotemowskim sklepem”, jak nazywa swoje

ówczesne miejsce pracy Wacław Faszczewski, emerytowany dziś kierownik działu mięsnego. – Obowiązywały u nas urzędowe ceny, asortyment był taki jak wszędzie. Tyle tylko, że można było zrobić wszelkie zakupy pod jednym dachem, co w tamtych czasach nie było częste, bo nie było przecież supermarketów. Tu można było nawet kupić części do rowerów. Pod tym względem ciągle byliśmy lepsi od innych – wspomina.

Co stoisko, to kierownik, takie czasy

Pan Wacław, który pracował w hali w latach 1968–1980, wspomina, że w jego czasach prywatne sklepy na Koszykach można było policzyć na palcach jednej ręki. W czasach małej stabilizacji „Spotem” „odbito” więc halę z rąk prywaciarzy. Remont i modernizacja hali były dziełem Ireny Strzeleckiej, prezes „Spotem” i jednocześnie żony ministra kolei, a później komunikacji – Ryszarda Strzeleckiego. Oboje byli przedwojennymi komunistami. Strzelecka często wizytowała Koszyki. Widywano ją na hali także po 1972 roku, kiedy została odsunięta ze stanowisk przez ekipę Gierka – nie pomogło jej nawet to, że rodem była z Sosnowca, jak sam



Każde stoisko
miało
swojego
kierownika.

I sekretarz. – To była wyjątkowo urodziwa kobieta – wspominają ją starzy pracownicy. Wyprostowana, elegancka, dumnym wzrokiem wodziła po stoiskach. Do późnej starości należała do komitetów członkowskich Hali Koszyki, uprawnionych do kontroli.

„Stolica” pisała w 1964 roku, że 80 proc. załogi hali stanowią kobiety. W późniejszych latach ta proporcja się utrzymała, większość załogi pracowała tu więcej niż pięć lat. Człowiekiem instytucją i najbardziej znanym pracownikiem hali był Karol Szlifierski – szef działu zamówień. Mówiono o nim, że miał coś w so-



**Karol Szlifierski –
szef działu
zamówień,
legenda
Koszyków**

bie z przedwojennego kupca. Pierwszeństwo w zamówieniach w jego dziale miały instytucje państwowe i – jak mówi Wacław Faszczewski – „figury”. Taka „figura” przychodziła na zaplecze i zostawała elegancko obsłużona poza kolejką. Do Szlifierskiego przychodzili ważni przedstawiciele partii, państwa i TVP, z Ireną Dziedzic na czele. Ktoś, kto pracował w tamtych czasach w handlu, wie, że w żadnym systemie sprzedawca nie miał takiej po-

zycji społecznej, jak w gospodarce niedoboru. Kto dystrybuował mięso, alkohol czy stodycze, był grubą rybą peerelowskiego obiegu barterowego. A u pana Karola można było teoretycznie zamówić wszystko i on wiedział, jak sprawić, aby dostawa doszła. Szlifierski pracował prawie do 90. roku życia (urodził się mniej więcej w czasach, gdy halę zbudowano). Kiedy się zwolnił, długo nie pożył. Na jego pogrzeb przyszedł tłumy pracowników Koszyków. Jeszcze w

latach 90. jeden ze sklepów mięsno-spożywczych na Koszykach na jego cześć otrzymał nazwę „U Karola”.

Wacław Faszczewski był kierownikiem działu mięsnego, co znaczyło, że sprzedawał na swoim stoisku wołowinę i wieprzowinę. Do odrębnej komórki należał handel drobiem, osobny był dział wędliniarski. Kierowników działów (było ich co najmniej kilkunastu, bo każde stoisko miało własnego szefa, takie czasy) zajmowało nie to, jak sprzedać towar, bo ten w PRL schodził zawsze, tylko jak go zdobyć. Na każdą placówkę był przydzielony mięsa ustalony z góry i z reguły szybko się kończył. Kierownik był wynagradzany od obrotu, więc trzeba było kombinować. Pan Wacław, jak każdy kierownik, miał notes z telefonami szefów zakładów mięsnych w całym kraju. Ci nieraz ratowali go z opresji. – Kiedyś przed świętami nie miałem już żadnego towaru. Ludzie byli wściekli. Dzwonię do Płocka do dyrektora tamtejszych zakładów i krzyczę: „Ratuj, bo ludzie halę mi rozniosą!”. I posłał mi nyskę pełną mięsa. Takich sytu-

acji było więcej – wspomina. Elżbieta Wichrowska pamięta, że w latach 80. przed Koszykami ustawiała się kolejka o siódmej wieczorem, by kupić świeże mięso o siódmej rano następnego dnia. Bo w tym kryzysowym czasie na Koszyki dostawy przychodziły częściej niż gdzie indziej. Pani Ela potrafi wymienić z pamięci wszystkich kierowników i kto gdzie stał w latach 80.: – Jadzia na stodyczach, Bożena na firankach, Ewka na rybach, na mięsie Iza z siostrą Teresą, na garnkach Kotakowscy – ojciec i syn – wylicza. Sama czesała i obcinała pracownice hali, więc zawsze wieczorem czekała na nią torba z zakupami. Mogła zajrzeć nawet do magazynów i zobaczyć, co przyszło. – Dywanów czy mebli nie można było tam kupić, bo dla pewnych artykułów był tylko magazyn rozdzielczy na całą Warszawę. Kontrolerzy pilnowali, aby nic się nie rozchodziło na boki. Ale dziewczyny dawały mi cynk, do którego sklepu będzie dostawa. I wtedy szybko jechałam do tego sklepu, gdzie sami jeszcze nie wiedzieli, co dostaną – mówi zadowolona.

Waldemar Pelka, ostatni prezes SDH „Koszyki”, wspomina, że zaopatrzeniowcy stawali na głowie, żeby wydobyc towar: czasami był on zupełnie nieprzetworzony. W kartkowych czasach po 1981 roku sprzedawano żywe kury. Na życzenie sprzedawca ucinał im głowy w sposób prosty i mało humanitarny, często na oczach klientów.

Hala miała klimat także dzięki gołębiom. Ptaki wlatywały do środka budynku, jak tylko otwierano jego podwoje. Do późnych lat 90. nie wiadomo, jak sobie z nimi radzić – żadnych odstraszaczy ultradźwiękowych nie było na sklepowym wyposażeniu, a strzelać do gołębi nie wypadało. – *Coś trzeba było robić, bo co jakiś czas przychodził na skargę klient z ptasimi odchodami na ubraniu* – wspomina prezes Pelka. – *Wyłapywaliśmy je, przykrywając z góry klatkami, w czym po jakimś czasie pracownicy mieli wprawę. Później wywoziliśmy je daleko. Gołąb miejski nie ma takiego instynktu, jak hodowlany, z reguły nie wraca w to samo miejsce* – wyjaśnia.

Oprócz gołębi zmorą Koszyków były „niebieskie ptaki”. Wlatywały tuż po otwarciu, po stanie wojennym po 13 grudnia, kiedy można już było



Zaopatrzenie na Koszykach zawsze było przyzwoite.

kupić alkohol. Byli kłopotliwi, bo co rusz próbowali kraść różne trunki. Jeden z okolicznych mieszkańców wspomina, że, w latach 70. jeden z miłośników taniego wina wpadł na pomysł, aby spożywać alkohol na miejscu. Szybko jednak został złapany i jego podobizna zawisła przed sklepem samoobsługowym ze stosownym wyjaśnieniem, dlaczego obłożony został zakazem wstępu. I jak tu wytłumaczyć przyszłym pokoleniom, że kultowy film „Miś” po prostu czerpał z życia? Prezes Pelka wspomina, że pijaczkowie byli problemem tak społecznym, jak i logistycznym. Za jego kadencji jeden żul wypadł z okna na samochód, innego przejechał samochód dostawczy.



Zmorą hali były gołębie i „niebieskie ptaki”.

Kiedy powstanie tu jeden z pierwszych sklepów nocnych w Warszawie, meliniarze zwiną interes, a „bramkarze” (czyli ci, co stoją w bramach – określenie z epoki) zaczną częściej okupować dziedziniec hali.

Miejscowy „element” często dokonywał włamań. W 1971 roku w hali zlikwidowano antresolę, podobno m.in. z tego powodu, że służyła za pomost złodziejazkom przedostającym się do wnętrza przez otwierane szyby w dachu. Waldemar Pelka pamięta, jak w latach 90. zdewastowano mu gabinet i obro-

biono stoiska ze srebrem. Policjant goniący złodziei zranił się w twarz, część bandy uciekła, ale złapani zostali dwaj złodzieje, którzy ukryli się w skrzyniach na terenie hali. Zwykle pobłażliwy aparat sprawiedliwości umarzał jednak kolejne sprawy, co tylko rozzuchwalało złodziei. Taka była rzeczywistość w całym Śródmieściu. Trzeba przy tym podkreślić, że Koszyki nigdy nie miały szczególnie złej reputacji.

Gazety odnotowywały obecność celebrytów w hali: „górującą nad innymi klientami” sylwetkę Wikto-

ra Zborowskiego, znanego krytyka filmowego Zygmunta Kałużyńskiego (przychodził tu z Wilczej), który kupował tu ponoć camemberty, elegancką i powszechnie lubianą Hanę Bielicką (mieszkała przy Śniadeckich) czy satyryka Krzysztofa Daukszewicza (dochodzący z alei Róż). Dwoje ostatnich łączyło upodobanie do zakupów w Koszykach z odwiedzinami na bazarze przy Polnej. No, ale tam mało kto mógł zaopatrywać się codziennie.

W lutym 1990 roku, wraz z nastaniem nowej Polski, w hali dokonała się rewolucja: Spółdzielczy Dom Handlowy „Koszyki” wydzielił się ze „Społem” i stał się osobnym bytem gospodarczym. Ostatecznie ze „Społem” Koszyki rozstały się pod koniec lat 90., tyle trwały wzajemne spory o rozliczenia.

Hala przybrała wygląd typowy dla tamtych czasów: stała się pstrokatą, oklejona kolorowymi szyldami jak cała Polska. Przed halą wrócili straganiarze, których nikt nie przeganiał. Jest znowu gwarno i barwnie jak na bazarze. Obok ludzi w znoszonych ubraniach przemysłali ci, ubrani modnie i na bogato, obok maluchów parkowały merce-

desy. Koszyki przyciągały, bo w latach 90. handlowcy się wykazywali. Mówiło się np., że jakiś sklep ma farby czy tkaniny, jakich nie ma gdzie indziej. Reżyser Konstantyn Ciszewski, który od 1990 roku mieszkał w przylegającej do hali kamienicy przy Koszykowej 65, także bardzo lubił tu robić zakupy. – Sprzedawcy z Koszyków zawsze wiedzieli, jak dbać o stałych klientów. Dzwonili, kiedy była dostawa, i mówili na przykład: „panie Konstanty, mamy świeżutką baraninę, zapraszamy”. To ci ludzie sprawiali, że zawsze czuliśmy się tu jak w domu. Sklepy były dobrze zaopatrzone i mogłem kupić w hali nawet dobre wina gruzińskie – wspomina reżyser.

Pani Ela wspomina, że prawie wszystkie zakupy robiła na hali aż do jej zamknięcia. Kiedy dowiedziała się, że Koszyki idą do remontu zrobiła zapasy na co najmniej miesiąc. – Wzięłam najlepsze rzeczy w dużych ilościach: dobrej szynki, kielbasy liwieckiej, masła, różnych przetworów. Zrobiłam to instynktownie, bo dla mnie żaden inny sklep się nie liczył – mówi poruszona.

W całym domu handlowym były dwa miejsca, które wyraźnie odróżniały się od reszty sklepów. Pierw-

szym była Tania Książka – outlet z literaturą i obrazami oraz pierwszy w Warszawie komputerowy sklep Apple’a z serwisem marki.

Do księgarni zjeżdżała inteligencja czytająca z całej Warszawy, bo zdarzało się, że można było tu kupić białe kruki za bezcen. Z kolei do ekskluzywnego sklepu komputerowego wpadali zawodowi graficy i miłośnicy tej marki. Pierwszy właściciel lokalu (pragnął zachować anonimowość) wspomina dziś, że często pytano go, dlaczego prowadzi ekskluzywny sklep w „hali z mydłem i powidłem”. – Wówczas odpowiadałem pytaniem: czy mogę znaleźć miejsce o bardziej wyrafinowanej architekturze? – śmieje się. W tych słowach nie ma cienia przesady.

Ów sklep z serwisem mieścił się na piętrze, w północnym bocznym skrzydle, w pomieszczeniu z półokrągłym oknem z zewnątrz zdobionym secesyjną balustradą. Janusz Letki, drugi i ostatni właściciel sklepu Apple’a, sprawił nawet, że Koszyki stały się kulturalnym salonem. To tu odbyła się jedyna w Europie wystawa grafik erotycznych Johna Lennona. Przedsiębiorca otrzymał



Czesław Niemen na Koszykach – był szczęśliwy, że doceniono jego grafiki komputerowe.

owe erotyki od Yoko Ono i próbował pokazać w Londynie, ale tam wystawa została „zaaresztowana”, a część prac policja zniszczyła. A w Warszawie wszyscy się zachwycali.

To tu także Czesław Niemen wystawił swoje grafiki komputerowe, to była jego pasja w późnym okresie życia. Uważał, że jego komputerowej twórczości się nie docenia, więc wystawa na Koszykach sprawiła mu wielką satysfakcję.



Paradoksalnie, dopiero po zamknięciu, Koszyki zaczęły przyciągać ludzi kultury na większą skalę. W 2012 roku Griffin Art Space, instytucja powołana przez Griffin Group, aby wspierać kulturę i sztukę, zorganizowała w Hali wystawę prac stworzonych specjalnie dla jej przestrzeni. Zaprezentowano m.in. monumentalną instalację ze styropianu Krystiana Trutha Czaplickiego i neon Wojtka Ziemilskiego o nazwie „Postępowanie pamięci”, który obecnie znajduje się w kolekcji Griffin Art Space.

W maju 2013 roku grupa społeczników z Okna na Warszawę zorganizowała tu swoją coroczną warsavia-

nistyczną imprezę – były wystawy, warsztaty, prelekcje i pokazy filmów o stolicy. – *Przyszło ponad dwa tysiące ludzi, duża część z nich przede wszystkim po to, aby po latach wejść do hali i obejrzeć, co z niej zostało. Koszyki mnie zawsze fascynowały jako budynek. Byliśmy szczęśliwi, że udało nam się tchnąć w halę życie, choćby na jeden dzień* – mówi Anna Rostkowska, jedna z organizatorek imprezy.

Swoją siedzibę, przez rok miała tam też Galeria „Czułość”, która w przestrzeni Hali organizowała liczne wernisaże i wystawy.

WOJNA O ZABYTEK

Gdyby konserwatorzy nie mieli słabości do secesyjnej hali, już dawno by zniknęła.

Zaraz po wojnie hala uniknęła dewastacji jaką zgotowali wielu zabytkom ortodoksyjni wyznawcy modernizmu. O czystość w architekturze walczono wtedy z młotkiem w ręku, skuwając ornamenty i rzeźby, które kiedyś zdobiły siedziby mieszczan. Na Koszyki nikt nie podniósł ręki – prawdopodobnie także dlatego, że rzeźby i zdobienia są tu w wyjątkowo dobrym guście. Ale ich wygląd zaczął się pogarszać od lat 60. Taka epoka: za Gomułki dość bezceremonialnie obchodzono się z zabytkami – zamalowywano lamperie w pałacach, a fasady kamienic przyoblekano w „baranka”, który na polskiej wsi długo był krzykiem mody.

Najprawdopodobniej około 1960 roku oszpecono budynek od dziedzińca do budowaniem we wnętrzu pasa sklepików w kształcie podkowy. Zostaną tam one aż do rozbiórki. Historyk sztuki, dr Bożena Wierzbicka, pisze w opracowaniu o Koszykach, że właśnie w tamtych latach elewacja północna korpusu została otynkowana, a pierwotny wystrój usunięto albo właśnie przykryto go tynkiem. Jeszcze w 1965 roku hala zostaje

wpisana do rejestru zabytków. Architekt Maria Sottys zajmująca się zawodowo historią obiektu podkreśla, że ów przywilej Koszyki zyskały stosunkowo wcześniej. Wówczas znacznie starsze zabytki nie mogły cieszyć się ochroną konserwatora. Maria Sottys podejrzewa, że to rzeźby Zygmunta Otto mogły wpłynąć na to, że budowlę tak wyróżniono.

Wpis do rejestru musiał rozsierdzić ówczesnych włodarzy „Spotem”.

W następnym roku „Spotem” wprost wystąpiło do Ministerstwa Kultury i Sztuki o skreślenie hali z listy chronionych dóbr kultury. Ówczesny stołeczny konserwator zabytków Mieczysław Kuźma, niejako w odpowiedzi, napisał: *Hala Targowa na Koszykach została umieszczona w rejestrze jako jedyny w Warszawie przykład secesyjnego budynku użyteczności publicznej i to w całym bloku urbanistycznym o jednolitym secesyjnym charakterze; szczególnie cenne są boczne bramy wejściowe w bardzo starannej robocie kamieniarskiej (...).*



WSS „Spo-
łem” chciało
skreślenia
hali z listy
chronionych
dóbr kultury.

Secesja – entuzjastycznie przyjęta np. we Francji – w Polsce była silnie zwalczana. Należy miejsce w historii sztuki nurt ten zaczął odzyskiwać dopiero w latach 60. XX wieku. Wówczas krytycy przestali się już zachwycać „maszynami do mieszkania”, powoli wracał sentyment do architektury historycznej. Hala Koszyki na tym skorzystała. „Społem” nie ustawało jednak w kolejnych próbach zmiany wyglądu Koszyków. Pod koniec lat 60. planowano przeszklenie całego dziedzińca i adaptację korpusu głównego

hali – do dziś istnieje szkic tego pomysłu, który przygotował architekt Jerzy Hryniewiecki.

Projekt ten – o dziwo opiniowany pozytywnie przez ówczesne władze konserwatorskie – nie został na szczęście zrealizowany – napisała dr Bożena Wierzbicka w obszernym opracowaniu dla konserwatora zabytków, poświęconym hali. Jeszcze co najmniej kilka pomysłów przebudowy zostało stworzonych, ale status zabytku uniemożliwiał ich urzeczywistnienie. W 1974 roku „Społem”



Ulica Ko-
szykowa
pod koniec
lat 70.



Kiermasz
społemowski
przed halą

ponownie wystąpiło do urzędu konserwatorskiego z zapytaniem, jakie części hali objęte są ochroną prawną. Stołeczny konserwator dr Lech Krzyżanowski odpisał stanowczo, że cały budynek jest zabytkiem i pouczył handlowców o „obowiązках wynikających z ustawy”. Drobnymi remontami dokonywano jednak co jakiś czas, a w 1976 roku przed halą zasadzono 11 drzew, co znacznie zmieniło jej wygląd od ulicy.

Można tylko dziękować urzędnikom, którzy stawali na drodze „psujom” z ówczesnego „Społem”. Spółdzielcy pokazali, co potrafią w użytkowanej przez siebie Hali Mirowskiej; w latach 70. XX wieku do jej zachodniej fasady dodano duży modernistyczny betonowo-szklany pawilon handlowy na wysokości I piętra. Szklany kłoc wbudowano pośpiesznie i nieudolnie, powodując zniszczenie zabytkowych elementów tej pięknej budowli.

W 1983 roku stołeczni strażacy po kontroli stwierdzili jednoznacznie: Hala Koszyki nie spełnia prawie żadnych norm przeciwpożarowych. Pod groźbą jej zamknięcia w następnym roku wymieniono m.in.



Zachowa-
ny budy-
nek admini-
stracyjny
Hali
Koszyki

Kolejne
remonty
mocno
oszczędziły
halę.



instalacje elektryczne, naprawiono dach i wykonano uodpornienie ogniochronne szalunku, ręcznie czyszczono też płaskorzeźby i płyty oblicowania. Już nie można było ciągnąć drobnych prac naprawczych – stworzono plan pełnego remontu, który po trzyletnich perturbacjach został w końcu zatwierdzony. „Kurier Polski” pisał w podniosłym tonie w październiku 1987 roku: *Zabytkowa hala na Koszykach nie zginie. Zdecydowano, że kosztem prawie pół miliarda zł Koszyki zostaną odnowione. Roboty potrwać gdzieś*

do połowy 1990 roku. Po ich zakończeniu handel w hali ma być na miarę XXI wieku, ale w budynku zrekonstruowanym z początku XX wieku. I znowu nic z tego nie wyszło, bo nie było owych 500 milionów. Przeprowadzono tylko kolejny mały remont, w rezultacie którego oszczędzono elewację hali blaszanym okapem.

W relacji „Gazety Wyborczej” z kwietnia 1994 roku czytamy, że cztery lata po uzyskaniu niezależności od „Społem” SDH „Koszyki” radzą sobie świetnie. W 1993 roku



Już w latach 90. hala była w przededniu śmierci technicznej.

spółdzielnia miała mieć ponad 60 mld zł (dzisiejsze 6 mln zł) obrotu i żadnych długów. Jest informacja o tym, że firma prowadzi remont za własne pieniądze. Na Koszykach pracuje około 150 osób, niektórzy od 30 lat są związani ze sklepem. Średnio zarabiają tylko 3,4 mln zł, bo większość zysków idzie na remont – czytamy w artykule „Wiekowy bazar”.

Waldemar Pelka, który pełnił funkcję prezesa SDH „Koszyki”, od 1995 roku do samego końca wspomina, że właśnie kondycja hali spędzała mu ciągle sen z powiek. Z wykształcenia

inżynier, nie potrzebował sążnistego raportu na temat zagrożeń: – Hala Koszyki była w przededniu śmierci technicznej i rzecz w tym, że nie była to tylko przenośnia. Stan techniczny groził zawaleniem, nadawała się wyłącznie do rozbiórki. Przy budowie hali popełniono szereg błędów, ponadto sposób jej wykonania był wypadkową powszechnego pod koniec cesarstwa rosyjskiego łapownictwa i zwykłego złodziejstwa. Nie należy też zapominać, że hala została zbombardowana i była częściowo spalona – mówi.

I dodaje: – Zmęczenie materiałowe



Oficyny bramne przetrwały demontaż hali.

stalowej konstrukcji było pod koniec eksploatacji hali tak wielkie, że ulegała ona plastycznym odkształceniom. W piwnicach – i nie tylko – stropy trzeba było podpieierać stemplami, tak jak robi się to w kopalniach. Pękały mury, hala nie spełniała wymagań stawianych w normach przeciwpożarowych. Nadzór budowlany był więc bliski jej zamknięcia z uwagi na zagrożenie katastrofą budowlaną. Niezabezpieczone i niewłaściwie konserwowane przewody gazowe, prowadzące do budynku mieszkalnego na zaple-

czu hali były tak skorodowane, że tylko dużo szczęścia i wyłączenie tej instalacji w 1996 roku zapobiegły katastrofie, której rozmiar mógł być większy nawet niż wybuch gazu w warszawskiej Rotundzie – kończy były prezes.

Hala mogła runąć, trzeba było działać. Zarząd SDH „Koszyki” po trzech latach zmagania zdecydował się na sprzedaż nieruchomości deweloperowi.



Hala znów jak przed wiekiem ma stać się eleganckim miejscem zakupowym

W 2006 roku halę kupiła firma Quinlan Private Golub. Sześć lat później teren, na którym były już tylko dwa budynki bramne i budynki oficyny, stał się własnością Griffin Real Estate. Nowy właściciel stanął w obliczu wyzwania, jak tchnąć nowe życie w to miejsce, jak zrewitalizować Halę tak, aby nadać jej nową funkcjonalność a jednocześnie uszanować zabytkową wartość i niepowtarzalny styl dawnego obiektu. Wyzwanie to podjęli architekci z pracowni JEMS.

Starali się dotrzeć do starych, oryginalnych planów, zdjęć, wizualizacji, których niestety zachowało się niewiele. Po maratonach spotkań, także z udziałem konserwatora zabytków powstał projekt, który z jednej strony ma przywrócić zabytkową Halę Warszawianom, a z drugiej sprawić, iż ta część Śródmieścia stanie się ważnym punktem komercyjnej mapy stolicy.

– Zaprojektowaliśmy nowoczesny budynek wypełniony cytatami

z przeszłości. Staramy się Halę odtworzyć jak najwierniej, choć o jej wyglądzie zewnętrznym wiemy dziś zaledwie z dwóch przedwojennych pocztówek – opowiada Jerzy Szczepanik-Dzikowski z JEMS Architekci.

Hala pełna była oryginalnych, wartych wyeksponowania i posiadających wartość historyczną elementów. Większość z nich powróci do niej. Odrestaurowane zostaną secesyjne detale architektoniczne, okrągła żeliwna klatka schodowa,

oryginalne kafle podłogowe, ozdobne elementy metalowe i wiele innych. Wrócą eleganckie kratownice. Wszystkie te elementy będą stanowiły uzupełnienie współczesnego wystroju wnętrza.

Utrzymana też zostanie oryginalna bryła hali, jej proporcje i spadki dachów. – Najważniejsze jest poszukiwanie atmosfery tego miejsca tak, aby mogło być ono zaakceptowane jako Hala Koszyki – deklaruje Szczepanik-Dzikowski.



Wiele z elementów Hali będzie nowych, ale stylizowanych na te z epoki.



Wygląd Hali będzie nawiązywał do oryginalnego projektu J. Dzierżanowskiego.

Jesienią 2014 roku ruszyła odbudowa Hali. Tym samym historia zatoczyła koło – Koszyki znowu będą elegancką halą, która w nowym wydaniu będzie zaświadczać o cywilizacyjnym statusie Warszawy, o jej aspiracjach.

Większość ludzi wspominających dawne Koszyki przyznaje, że nie doceniło znaczenia tego miejsca. Później odkrywali, że Koszyki nie były jeszcze jednym sklepem, tylko sercem tej części miasta. Dla dzielnicy odbudowa Hali będzie oznaczać, że jej serce znowu zacznie bić.

Autorzy zdjęć:

str. 5 ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, reprodukcje Piotr Ligier; str.6 folder jubileuszowy SDH „Koszyki”, str.7 G.Rutowska/NAC; str. 10 i 13 reprodukcje z książki M.Omilanowskiej „Świątynie Handlu” PAN 2004, str.11 ze zbiorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków; str.15-16 ze zbiorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków (2), I.Kozakiewicz/warszawabeztajemnic.pl; str.18 Bogusław Wiśniewski; str.19,22-23 ze zbiorów Andrzeja Dzierżanowskiego; str.20 repr. z książki S. Łozy „Szkice warszawskie” PIW 1958, str.24-25 ze zbiorów Muzeum Warszawy, str. 27 „Przegląd Techniczny” 1912 r. ze zbiorów IS PAN, str.23,28,37,38-39 M. Bajkowska; str.30 J. Zajączkowski ze zbiorów Hanny Miązek; s.31,32 z kolekcji A. Rostockiego; str.33 A.Bargiełowski ze zbiorów Muzeum PowstaniaWarszawskiego; str.34 R.Kotowicz/Forum; str.40 C.Olszewski/IS PAN; str.41 PAP/archiwum CAF; str.42 J. Zajączkowski ze zbiorów Hanny Miązek str.43 repr. „Sprawozdanie WSS 1949-1950”, str.44 Z.Siemaszko/Forum; str 45 G.Rutowska/NAC (2) str. 46 G.Rutowska/NAC, str.47 G.Rutowska/NAC, str.48 G.Rutowska/NAC, str.50 S.Zubczewski/Reporter; str 51 ze zbiorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, str.53 ze zbiorów J.Letkiego, str.54 F.Mazur/Reporter; str.56 i 57 ze zbiorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, str.57 L. Charewicz/East News; str.58 i 59 ze zbiorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, str.60 E.Fałkiewicz/Reporter; str.61 B.Krupa/East News; str.62-63 Griffin Real Estate, str.64 i 65 Griffin Real Estate.

Ilustracje na 1 i 4 str. okładki: Katarzyna Czapska

Autor i wydawca dziękuje za pomoc i materiały:

pracownikom Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków,

Waldemarowi Pelce, ostatniemu Prezesowi SDH Koszyki,

Pani architekt Marii Sołtys,

Panu Jarosławowi Zielińskiemu,

Panu Konradowi Donau-Szpindlerowi,

Pani Elżbiecie Wichrowskiej,

Panu Andrzejowi Dzierżanowskiemu za przekazane materiały,

pracownikom WSS „Społem”

Muzeum Powstania Warszawskiego

pracownikom działu Varsaviana z Biblioteki na Koszykowej

oraz Biblioteki Instytutu Sztuki PAN za zaangażowanie i pomoc w wyszukiwaniu materiałów.

Oprócz wymienionych źródeł przy pisaniu tekstu autor korzystał m.in. z informacji zawartych w opracowaniu „Hala Targowa na Koszykach. Studium historyczno-konserwatorskim wraz z wytycznymi konserwatorskimi do rewitalizacji obiektu” autorstwa Anny Radźwickiej-Milczewskiej i dr Bożeny Wierzbickiej, oraz publikacji z portali nepomuki.pl i warszawa1939.pl.

